

# Chotnicka

PISSMO P.S.K.

Rok IV

Kwiecień 1946 r.

Nr 4 (31)



# ROZKAZ WIELKANOCNY DOWÓDCY 2. KORPUSU

Żołnierze 2. Korpusu!

Od lat siedmiu obchodziliśmy święta Wielkiejnocy poza Ojczyznę z dala od naszych rodzin i domów. Gdy przed rokami zwracałem się do Was z okazji święta Zmartwychwstania, staliśmy jeszcze w walce orężnej z wrogiem, który we wrześniu 1939 roku napadł na Polskę i podbił kolejno całą niemiecką Europę. W walce tej zwyciężyliśmy. Nie ma jednak jeszcze pokoju na świecie, gdyż ani Polska, a także wiele innych narodów wolności nie odzyskało. Nie ma pokoju i być go nie może, dopóki prawo i sprawiedliwość nie zapanują na całym świecie.

W święto Zmartwychwstania pragnę dać wyraz mojej głębokiej i niezachwianej wierze, którą i Wy wszyscy podzielacie. „Zmartwychwstanie Polska”, Polska Wolna i Niepodległa, sprawiedliwa dla wszystkich swych synów. O taką Polskę walczyliśmy i nadal walczyć musimy.

Zaufałem mi w najtrudniejszych chwilach naszego istnienia, w najcięższych bojach, które nam stoczyć przyszło, a zwycięstwo, sława i dobre imię żołnierskie przylgnęły na zawsze do naszych sztandarów. Dziś stanowią jedną wielką i trwałą rodzinę złożoną z żołnierzy, którym los wojny dyktował różne koleje. Sztandar nasz jest symbolem Walecznej Polski i Tradycji Narodu Polskiego. Wszyscy bez wyjątku jesteście sobie równi wobec Narodu, który nakazuje nam wytrwać w naszej zwycięskiej postawie tak długo, aż cel będzie osiągnięty. Aby mieć siłę wytrwania musimy pamiętać o tym, że w każdej sytuacji musimy być zdecydowani dzielić wspólny los żołnierski, musimy być uparci w drodze do celu, niezależnie od trudności i krypsów, które będziemy musieli łamać po swej drodze do Polski takiej, jaką nosimy w naszych sercach.

Niech Bóg Wszechmogący pozwoli zmartwychwstać Ojczyźnie naszej w jej dawnej wielkości i chwale, niech otoczy opieką nasze zwycięskie sztandary, niech da nam siłę wytrwania i zachowa te cnoty żołnierskie, które są Krajowi naszego szlachetnego i największego dumy.

Żołnierze — przyjmijcie te słowa jako życzenia moje, w dniu świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

Dowódca 2. Korpusu  
(—) ANDERS  
Gen. dyw.

## ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

Cały świat chrześcijański, a z nim Polska — jego Przedmurze — gotuje się do obchodzenia świątecznych Tajemnic Śmierci i Zmartwychwstania Pańskiego. Pragnęlibyśmy więc i my, Polacy i Polki, pomimo niepomyślnych dla wielu z nas do skupienia się warunków, kontemplacji tych wiekopomnych prawd poświęcić choć chwilę; kontemplacji, którą już Arystoteles, uważał za szczyt ludzkiej działalności tu na ziemi. Przede wszystkim pragnęlibyśmy odświeżyć ów kompleks naszych tradycyjnych świątecznych asocjacji i wyobrażeń, nie dowiedzieć się, jakie znaczenie, nie tylko ogólne i teoretyczne, lecz konkretne i praktyczne posiadają one dla każdego z nas, dla mnie — i dla Ciebie.

„Zaiste Zmartwychwstał Pan!” — wołamy w dzień Wielkanocy. **Z a i s t e** — „revera” — a więc chodzi tu nie tylko o jakąś teoretyczną prawdę, której argumentację możemy zrozumieć, względnie odrzucić, lecz o historyczny fakt, do którego podejść możemy w ten sam sposób — jak do egzystencji np. Krzysztofa Kolumba, czy Napoleona; **rzeczywistość, fakt, który** miazdząca krytyka historyczna ubiegłego stulecia tak swymi krytycznymi skrupułami ngruntowała, iż przeczyć mu dziś jest nieuprzedzoneму z góry człowiekowi równie trudno, względnie równie łatwo, jak przeczyć np. historycznej egzystencji Napoleona, którego przecież żaden z nas nigdy nie widział, a dotyczące się go świadectwa, chociaż czysto historyczne, nie mogą być wszystkie fałszerstwami i złudzeniami fanatycznie oddanych „napoleońskiej idei” weteranów! Na szczęście dla nas, krytyczne skrupuły posiadali już... niewierny Tomasz i Apostoł Paweł, który przypomina, że „jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, próżne jest opo-

wiadanie nasze, próżna też i wiara wasza... Jeśli bowiem w tym tylko życiu mamy nadzieję w Chrystusie, najbiedniejszymi z ludzi jesteśmy”.

— Zaiste!  
**Z m a r t w y c h w s t a ł !** — To znaczy powstał z martwych, bo nie ma zmartwychwstania bez poprzedzającej go śmierci. Śmierć — to bolesny lecz rzeczywisty fakt, nad którego sensem głowi się cała ludzkość od początku swego istnienia. Przyglądając się powszechnemu w naturze zjawisku śmierci, stwierdza człowiek równie powszechny fakt, iż gdzie panuje śmierć, czyli rozpad starych form, tam równocześnie odradza się życie, czyli powstają z gruzów formy nowe. Umiera ziarno — roznasta się kłos; zamiera kłos — dojrzewa ziarno nowe. Nie jest to jednak zmartwychwstanie, bo zamiera jedno, a odradza się drugie. W nieprzerwanym prądzie materialnych istnień życie i śmierć mienia się, jak rozszczerzone w teczcy koloru jednego słonecznego promienia. Im bardziej jednak rozszerzamy i pogłębiamy naszą znajomość świata materialnego, tym konieczniej narzuca się nam owa prawda, iż mimo niezliczonej ich różnorodności, wszystkie widzialne zjawiska — dzięki ich wspólnemu rytmowi i wspólnej harmonii — mają swoją wspólną mowę. Jak promienie koła, krzyżujące się w jednym i tym samym punkcie, wskazują one na coś, co jest wszystkim przetrzasta, a zarazem jednoczy. Innymi słowy: ten mieniać się w kolewrotcie życia i śmierci świat widzialny — to tylko jedna wielka **n a l o g i a**, jedno podobieństwo ukrytego poza nim świata duchowego, w którym jednoczy się i urzeczywistnia to, co się w krwstale zjawisk rozdwa-  
ia i zapowiada. Ta świadomość duchowego sensu, otaczającej nas — bynajmniej nie niemej — przyrody,

rzadko doszła do takiego stopnia nasilenia, jak na przełomie kończącego się świata starożytnego i ery chrześcijańskiej, gdy nie tylko Nóród Wybrany oczekiwał przyjścia Mesjasza, ale i najgłębsi myśliciele zamierającego Antyku wdychali zapowiedzianym przez ich Sybilla „Panem Świata”.

**P a n !** — „Dominus” — tzn. ten, który wszędzie jest u siebie „domu”, bo cały świat, to zbudo-  
wana przezeń świątynia. Ten Pan, który powiedział o sobie: „Ja jestem Prawda, Droga i Żywot”, który, chcąc stać się równym ka-  
demu z nas, ukrywał się, ilekroć tłum, rozentuzjazmowany jego cza-  
dami, chciał obwołać go królem —  
ale który zawisł na Krzyżu, do-  
wolnie zstąpił w otchłań Śmierci, by — zmartwychwstać. Uczy-  
nił zaś to, by — powołując się nie na Swe zdumiewające słowa, ale na bardziej zdumiewające fak-  
ty — zażądać od nas rzeczy żar-  
zém i prostej i niesłuchanej: by-  
my tym zdumiewającym choć o-  
wistym faktem i słowem — ur-  
rzyli; byśmy zrozumieli, że ca-  
świat to jeden wielki krag ży-  
i śmierci, którego wszystkie pro-  
mienienie krzyżują się i koncentru-  
w jednym punkcie, z którego  
wyrasta, obłany łuną Zmartwych-  
wstania, Krzyż. Dlatego o-  
chwili tego Zmartwychwstania  
wszędzie, gdzie krzyżują się  
promienie Prawdy, na pierwszym —  
— Pańskim! — miejscu, więc w  
p o s r o d k u ołtarza, w pośrodku  
sali szpitalnej czy wykładowej, na  
królewskiej koronie i na piersi do-  
niera — lśni Krzyż. Wartość tego  
Krzyża polega na tym, że zanim  
rozbłysnął się on chwałą na pier-  
 był mozolnie niesiony na barkach  
przez tych, co nie chcąc zamykać  
oczu przed Prawdą, uwierzyli fał-  
tom i poszli za Chrystusem; prze-  
Śmierć — do Zmartwychwstania

## WIELKI PIĄTEK W WARSZAWIE

Przez wszystkie długie lata okupacji niemieckiej ludność Warszawy odprawiła w Wielkim Tygodniu odwiecznym zwyczajem pielgrzymki do Grobu Chrystusa po kościołach warszawskich.

W pierwszym roku okupacji niemieckiej, przeleciała po Warszawie wiadomość—legenda, że w kościele Bernardynów (kościół akademików) Grób Chrystusowy skomponowano w symbol protestu przeciwko najazdowi: przy ścianie kościoła, rozburzonej bombami 1939 roku — (nie wszystkie ściany kościołów, nie wszystkie mury Warszawy były wtedy jeszcze zwalone) był Grób Chrystusa, zamiatł barwnych kwiatów, otoczony płachtą mura-  
rawy. U jego stóp stały niewielkie krzy-  
ża grobów żołnierskich, a nad nim w jas-  
nieniu zwojów białego tiulu — Hostia na  
tyle Białego Orła. Orzeł był tak przejrzysty, tak niewidoczny, tak zasnuty tiu-  
lem, że dojrzeć go mogły tylko wtajem-  
niczone oczy.

Ludzie sprzed innych kościołów wy-  
ciągnęli się w niekończące się sznur-  
kolejek wzdłuż Nowego Świata i Kra-  
kowskiego Przedmieścia. Tłum milczał  
albo gadał o rzeczach, których mogło  
słuchać najprawdziejsze ucha szpiegów-  
skie. Stał tak, manifestując swą liczeb-  
nością, cały Wielki Piątek, całą Wielką  
Sobotę.

Zamieszczona ilustracja przedstawia wewnątrz kościoła św. Krzyża, w którym w 1944 roku bronili się bohatersko powstańcy warszawscy.

Grób Pański w 1945 roku stał wśród gruzów kościoła. Krzyż Golgoty symbolizowały i golgotę całego narodu, a Hostia stała nisko wśród ruin, jak w czasie nabożeństw w podziemiach i piwnicach w dni Powstania.

Z.W.

Dlatego jest to wielkim zaszczy-  
tem dla naszej Ojczyzny, jeśli  
oczy wszystkich narodów, miłują-  
cych Prawo, Wolność i chrześci-  
jańskie Braterstwo kierują się ku  
tej „krajnie mogił”, w samym  
środku której na gruzach jej stoli-  
cy stoi wymowny w swym milcze-  
niu Krzyż; ten sam Krzyż, zroso-  
ny krwią Srebrnego Orła, wznosi  
się na zgłiszczach owego Św.  
Wzgórza, które niosło barbarzyń-  
skiej Europie światło Ewangelii i  
Kultury — na „polskim” dziś  
Monte Cassino. A pod Krzyżem  
modli się za Polskę Ta, „co w  
Ostrej świeci Bramie”, a którą  
przemoc i ślepotą ludzka chciałyby  
odgrodzić od Jej Królestwa i Jej  
Jasnej Góry — nasza Niebieska  
Królowa.

Jeśli tę tajemnicę Ofiary trakto-  
wać będziemy czysto „tradycyjnie”  
i niepomni Pawłowej obietnicy, iż  
„cierpienia czasu terażniejszego ni-  
czym są w porównaniu z przyszłą  
chwałą, która w nas się objawi”,  
zachowamy Krzyż tylko na dzień  
święteczny parad i dekoracyj; sta-  
nie się on nam nie promiennym  
ośrodkiem i motorem wszystkich

naszych czynów i naszych serc —  
ale gniotącym nas i nasz Kraj  
— posmiertnym pomnikiem. Jeżeli  
jednak uwierzymy faktom Śmierci  
i Zmartwychwstania Pańskiego —  
i pójdziemy za Chrystusem, tzn.,  
gdy odwrócimy się od fatalnego krę-  
gu nieszczęnych gestów i czczych  
słów do owego prawdziwie „wewnętrz-  
nego” ośrodka, kierującego nieza-  
wodnie losami każdego z nas i całej  
ludzkości: do osobistej, cichej Of-  
f i a r y czystych serc i czystych czyn-  
ów — wówczas bijąca z Chrystuso-  
wego Krzyża Moc porwie nas z ot-  
chłani wielkopiątkowego cierpienia  
na taki szczyt prawdziwej duche-  
wej wielkości i potęgi, że ku zdumie-  
nieniu tych, co chcieliby nas uznać  
za szalenców, zawołamy — nie po-  
niewczasie z Apostołą, ale tryum-  
falnie, sercem przepelnionym  
wdzięcznością dla „Galilejczyka”:  
Z a i s t e , z m a r t w y c h -  
w s t a ł P a n ! Alleluja!

ALLELUJA!

C. J. KRASIŃSKI O. S. B.



Grób na Wielkanoc 1945 r., w kościele św. Krzyża w Warszawie

\* \* \*

**W DNIU ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY, OBCHODZONEJ JESZCZE CIĄGLE NA OB-  
CZYŹNIE, DALEKO OD RODZIN, PRZEBYWAJĄCYCH W NIEWOLNYM KRAJU — ZA-  
SYŁAMY NASZYM KOLEŻANKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM SŁOWA NAJ-  
GŁĘBSZEJ WIARY W ZMARTWYCHPOWSTANIE. — ZŁO I PRZEMOC, KRZYWDA  
I PONIŻENIE NIE ZDOŁAJĄ NAM ODEBRAĆ NASZEJ MOCNEJ I WYTRWAŁEJ ŻY-  
WOTNOŚCI, NASZEJ WOLI ZWYCIĘŻENIA, MIMO WSZYSTKO! TEN, KTÓRY SKONAŁ  
NA KRZYŻU, ABY DNIA TRZECIEGO ZMARTWYCHWSTAĆ, UKAZAŁ ŚWIATU  
PRAWDĘ CUDU. WSZYSCY, KTÓRZY TE PRAWDĘ PRZYJĘLI W SIEBIE, MOGĄ  
W DNIU ZMARTWYCHWSTANIA CESZYĆ SIĘ PRZYSZŁOŚCIĄ, KTÓRA NADCHODZI  
NIE ZAPOWIEDZIANA, ALE WIERNA PRAWOM BOSKIM; USTANOWIONYM SPRA-  
WIEDLIWIE.**

## NASZ UDZIAŁ W WALCE O NOWE ŻYCIE

Sto czternaście lat temu ruszyła w świat pierwsza polska Wielka Emigracja. Opuściła Kraj z powodu duchowej niemożności dalszego w nim życia. Był to skutek nie wewnętrznych rozgrywek między Polakami, ale protest przeciwko przemocy obcej i nienawistnej, rządzącej ich krajem. W tym znaczeniu Wielka Emigracja nie była nigdy emigracją polityczną, lecz raczej „wyobudzeniem narodu”, jego częścią czynną i walczącą. Reprezentowała prawie wszystkie odcienie polityczne i społeczne, przyjmując za podstawę ówczesne stosunki społeczne i ówczesne pojęcia. Emigracja trwała lat ok. 30. Dzieje jej toczyły się na tyłu płaszczyznach, podlegały tylu falowaniom, że dziś jeszcze istnieje dyskusja nad ogólną jej oceną.

Ale uczuciowy osąd Polaków zapadł już dawno. Odczuwamy dziś jeszcze na sobie jej skutki — dziś, gdy jesteśmy szczególnie jej bliscy i gdy powtarzamy jej akt drugi. Na zasadnicze bowiem pytanie: walczyć z przemocą, czy pójść na jej służbę — daliśmy taką samą odpowiedź. Nie wielu z żołnierzy Olszyny Grochowskiej, Igań i Wielkich Dębów którzy przekraczali granicę pruską, zdawało sobie sprawę, że ponad nimi zapadł wyrok nieujrzenia nigdy ziemi, z której wyszli. Szli z wiarą w rychły powrót przy pomocy przyjaciół, z wiarą w ziszczalność żądań, które reprezentowali. Choć za życia nadzieje ich się nie spełniły, powrócili, jako heroldowie, od wiecznej walki o to, co daje pełnię życia: — o wolność.

Żołnierze listopadowi nie ustawali w walce wewnętrznej o nową formę życia, poprzez burzliwe obrady sejmów emigracyjnych, zjazdy Towarzystw, rozłamy i połączenia, akty warcholstwa i czyny wyrażające głębokie poczucie wspólnoty. Łączyli się z ruchami wyzwoleniczymi. Kołatali do wszystkich autorytetów. Jednocześnie formowali postawę na przyszłość wobec wewnętrznych zagadnień polskich. Musiano walczyć przy tym z oportunistami i „racją stapu” państw, w których znaleźli gorzką gościnę. Wszędzie pielgrzymów tych spotykały przykrości w związku z przedłużającym się pobytami. Nad tym czuowali również zaborec.

Była jeszcze jedna, najbardziej ludzka strona emigracji. Nie wszyscy rezydowali w hotelu Lambert. Lwia ich część — bez znajomości języka, zwyczajów i jakże często zdeklasowana — borykała się z życiem w środowisku obcym, w którym obcym ciałem pozostała sama do końca. A czy trzeba wspominać o tęsknocie za krajem i za tym wszystkim, co daje w nim życie?

Pozostali i trwali. Poświęcili ogromne przywiązanie do ziemi i rodziny, jednym słowem, poświęcili to wszystko, co się w pełni odczuwa dopiero, gdy się je straci. Ofiarowali w swoistym znaczeniu — życie.

Powstaje pytanie, w jaki sposób pielgrzymi z 31 roku wytrzymali psychicznie tak wielkie natężenie ofiary? Na to znajdują jedną odpowiedź. Dali jeszcze raz w historii świadectwo prawdy, że wielką ofiarę potrafi się ponieść jedynie dla wielkiej idei. Bez przeświadczenia o wartości i nieprzemijalności stworzonej przez siebie idei Polski — Wielka Emigracja byłaby zwykłą emigracją. Jak wszystkie inne tworzące się i żyjące w letniej lub niskiej temperaturze ideowej, poszłyby w rozsypkę i zapomnienie. Było to wielkim szczęściem i wiekopomną zasługą tułaczy 1830-60 roku, że nie zasklepili się w codziennych kategoriach „racji stanu” i tzw. rachunku politycznego, lecz oparli się na idei szerszej, należącej do dorobku ogólnoludzkiego, że połączyli wolność i zmartwychwstanie nasze z urzeczywistnieniem najgłębszych pierwiastków wiary i najsil-

niejszymi motorami moralnymi działania ludzkiego.

Polska, do której szli, stała się „z ducha” wizją z Przedświtu, oczyszczoną prawie całkowicie z obrazów walk wewnętrznych i sprzeczności interesów. Chociaż obraz nie odpowiadał rzeczywistości ani emigracyjnej ani krajowej, istotne było to, że takie pojęcie Polski stwarzało dyspozycję psychiczną, zdolną do najwyższych poświęceń, a co najważniejsze — zdolną do trwania na emigracji.

Wzniósłszy bowiem ideę Polski na wyżyny wielkich idei, emigracja szukała łączności z innymi narodami i znalazła ją. Związała integralnie ideę Polski z chrześcijańską i nadała ponadludzki sens swemu istnieniu, swojej walce. Rzuciła hasło dla następnych pokoleń. Polska ukrzyżtowana i umęczona stała się Mesjaszem narodów. Złożyła ofiarę odkupienia za siebie i za inne ludy.

Te trzy podstawy mesjanizmu: Polska „z ducha”, związaną z innymi narodami w dziedzinie pojęć moralnych i nadanie najgłębszego sensu jej istnienia przez ofiarę — to trzy kamienie węgiel-

ne całej budowy ideologicznej lat niewoli, które oparły się wszystkim burzom i na których wyrosły czyny następnych pokoleń.

Zyjemy znowu w okolicznościach niezwykłych. Przechodzimy okres, który można nazwać również wielką emigracją. Tak jak kiedyś, i dziś ciężar pojęcia: Ojczyzna — istnieje i rozwija się w nas i w nas znajduje najsilniejsze oparcie. To słowo wymaga w tej chwili od nas takiej ofiary i takich poświęceń, jak sto lat temu. Wymaga najtrudniejszej formy czynu: — trwania. Emigracja 31 roku wyszła zwycięsko z próby dziejowej, bo znalazła ideę, dającą moc przetrwania. I dziś wydaje mi się niezbędne, by forma — rozumieniem przez to postawę duchową do idei Polski — była mesjaniczna.

A treść? Czyż nie szukamy sensu wydarzeń, które wokół nas się przewalają i które każdego w mniejszym lub większym stopniu dotyczą? Czyż nie szukamy na powstające pytania odpowiedzi? Wydaje mi się zbyt symplastyczne dawanie jakichś przepisów. Odpowiedź — ty się serce wykuje. Ale wiem, że nie może się ona opierać ani na zwykłych kai-

kulacjach politycznych, ani na szukaniu koniunktur. Jestem przekonany, że odpowiedź musi opierać się na dwóch podstawach:

1. Należy powiązać ideę Polski z najistotniejszymi i najbardziej żywymi dążeniami ludzkości do znalezienia równowagi między rozwojem w dziedzinie materialnej i moralnej. Jesteśmy narodem w znaczeniu najgłębszym — „rycerskim”, który dla wartości moralnych o wiele łatwiej gotów jest poświęcić dobra materialne, niż to czynią inne narody. Jak sto lat temu chcieliśmy nieść światu odkupienie, tak dziś żywym ciałem i krwią głosimy prymat wartości duchowych.

2. Winniśmy wytworzyć w czasach, w których tyle mówi się o sprzecznościach między narodami — wiarę w powiązanie losów naszego narodu z losem innych narodów, ale zamiast idei z trzydziestych lat ubiegłego stulecia, że śmiercią swą przynosimy innym zmazanie win, — chcemy być dziś promotorami nowego życia wraz z tymi narodami, które wyzwolenia i możliwości budowania tego nowego życia — oczekują.

ST. CHOJNACKI

## ROSJA WOBEC UNII BRZESKIEJ (1596 — 1946)

Podział chrześcijaństwa na kościół wschodni i zachodni zaznaczał się już w pierwszych wiekach naszej ery. Składało się na to wiele przyczyn — od ściśle spekulacyjnych do politycznych. Kościół wschodni, którego siedzibą z biegiem czasu stał się Konstantynopol, rekrutował się — jeżeli idzie o duchowieństwo — z Greków, przyzwyczajonych i wdrożonych do spekulacji filozoficznych, doszukujących się zawikłanych problemów nawet tam, gdzie ich nie było. Z drugiej strony działały w Konstantynopolu wpływy dworu cesarskiego z wysoko rozwiniętym przekonaniem wszechwładzy cesarza, który według pojęć bizantyńskich był w całym tego słowa znaczeniu „z łaski Bożej” — „aniołom równy”. Nie najmniejszą rolę odgrywały też ambicje poszczególnych patriarchów konstantynopolańskich, którzy nie chcieli uznać nad sobą zwierzchnictwa biskupa rzymskiego — papieża.

Te rozdźwięki przybrały z końcem wieku IX rozmiary tak poważne, że jedność kościoła stała się fikcją. Jakkolwiek ta pierwsza schizma, dokonana przez patriarchę Fojuszusa (867), była przejściowa, to w roku 1054 doszło do ostatecznego zerwania z przyczyną patriarchy, Michała Cerulariusza.

Od tego czasu kościół wschodni jest właściwie państwem prawie teokratycznym, ponieważ cesarz jest zwierzchnikiem nie tylko politycznym, ale i religijnym, zmieniającym wedle swej woli patriarchów, na równi z urzędnikami cywilnymi. Ten prąd, zwany cesar-

papizmem, zwalczany był jak najostrzej na Zachodzie gdzie papież stawiający zwycięski opór podobnym pretensjom cesarzy niemieckich.

Podział chrześcijaństwa na dwa kościoły nie ograniczał się do Rzy-



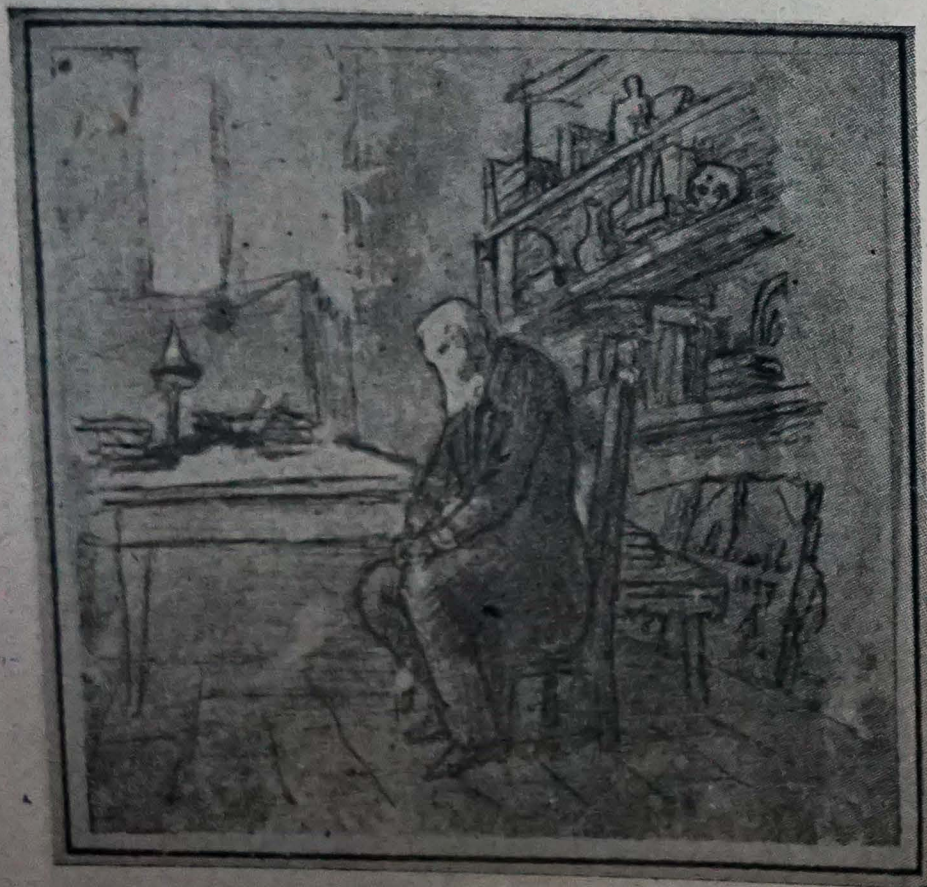
Stefan Batory  
Miedzioryt z Kromera „Historii Polski”

mu i Bizancjum — każde z tych miast stanowiło ośrodek religijny dla krajów europejskich. Z Rzymu przyjęły wiarę chrześcijańską kraje Europy zachodniej i środkowej, które stały też na gruncie koncepcji papieskiej. Do krajów tych należała też Polska. Bizancjum natomiast wywierało swój wpływ na kraje bałkańskie i Ruś Kijowską, której władca przyjął chrzest z Konstantynopola.

Próby położenia kresu temu rozdziałowi zaznaczają się stale w hi-

storii dyplomacji papieskiej. Usiłowania te odnosiły niekiedy swój skutek — co prawda tylko przejściowo. W okresie potęgi papieża przyjmują wyznaczenie rzymsko-katolickiej władzy Serbii oraz księżę, a później król halicki, Daniel (1242).

Najazd Tatarów zerwał w dużym stopniu łączność między Rzymem a Wschodem Europy i uniemożliwił apostolską pracę, zmierzającą do przywrócenia jedności chrześcijaństwa. W chwili, gdy Tatarzy przestali być groźnymi, pojawiło się na ich miejsce W. Ks. Moskiewskie, ze względów politycznych przezwane wszelkim pomysłem unii. Zaznaczyło się to w roku 1439, gdy na soborze we Florencji doszło do ugody, na podstawie której biskupi prawosławni uznali prymat papieża, kładąc kres dotychczasowemu rozdziałowi. Na soborze szczególnie wielką rolę odegrał metropolita kijowski Izydor, który jednak po powrocie do swej diecezji i wyjeździe do Moskwy spotkał się ze sprzeciwem i groźbami księcia Wasyla. Dla stanowiska biskupów prawosławnych charakterystyczny jest przebieg „soboru”, który zwołał Wasyl celem rozpatrzenia unii w wersahu florenckiego. Biskupi skłonni byli przyjąć tekst tego unii-wersahu, dopiero Wasyl zaatakował ostro Izydora, nazywając go „fałszywym pasterzem, zabójcą dusz i heretykiem”. Mimo, że sprawa była ściśle teologiczna, biskupi uznali autorytet swego władcy i skierowali do niego adres, mówiący między innymi: „Panie, myśmy spali, ty jeden czuwałeś za wszystkich — odkryłeś prawdę, ocaliłeś wiarę.”



Joachim Lelewel w swojej pracowni  
(rysunek przypisywany J. Lelewelowi)

*Metropolita oddał ją za złoto papieżowi i wrócił do nas z herezją*.

Izydor musiał uciekać z Moskwy, gdzie Wasyl mianował nowego metropolitę i stworzył kościół niezależny nie tylko od Rzymu, ale nawet od Konstantynopola. Władcy Moskwy zwalczają od tego czasu zajadłe unie i prowadzą grę polityczną, w której narzędziami ich są biskupi prawosławni. Polityczny interes książąt Moskwy był jasny — dążyli oni do zjednoczenia wszystkich ziem „ruskich” i uważali za konieczne podporządkowanie sobie ludności pod każdym względem — nawet religijnym. Nie mniej, w razie potrzeby carowie łudzą papieża możliwościami unii. Wystarczy przypomnieć historię Iwana Groźnego, który dla uniknięcia zupełnej klęski w wojnie ze Stefanem Batorym ucieka się do pośrednictwa legata papieskiego, Possewina, przyrzekając mu nawrócenie się na wiarę katolicką.

Jednocześnie carowie występują jako obrońcy ludności prawosławnej, mieszkającej na ziemiach W. Ks. Litewskiego. Daje im to dogodny pozór do mieszania się w wewnętrzne sprawy sąsiada. Metody używane wówczas przypominają żywo całą późniejszą dyplomację rosyjską — aż do czasów dzisiejszych. Iwan III Srogi, który wydał swą córkę Helenę za Aleksandra Jagiellończyka, stale uznaje się za nią, twierdząc, że maż nie pozwala jej na wykonywanie praktyk religijnych w duchu prawosławium. Nie pomaga nic, że sama Helena stwierdza wielokrotnie, iż nikt jej nie czyni przeszkód w wyznawaniu swojej wiary. Jesteśmy tu bardzo bliscy dzisiejszej „opieki” Moskwy nad grupami czy narodami, którzy zupełnie sobie tej opieki nie życzą.

Zawarta we Florencji unia nie miała z wielu względów długiego żywota. Ponieważ ziemie bałkańskie, opanowane przez Turków, zamknięte były dla prób penetracji rzymskiej, najważniejszym terenem, zamieszkałym przez ludność prawosławną, były wschodnie ziemie Polski i Rosji. Inicjatywą zawarcia nowej unii wysłał wiec z Polski i po dłuższych rokowaniach doszło do zawarcia Unii Brzeskiej dnia 6 października 1596, zatwierdzonej aktem królewskim 15 grudnia 1596\*). Również i ta unia spotkała się z natychmiastowymi atakami Moskwy, która nie dopuściła do wprowadzenia jej w życie na swoich terenach, a zwalczała ją wszelkimi sposobami na ziemiach polskich. Tak długo Polska stanowiła mocarstwo trudne do atakowania, tak długo żywot unii był zabezpieczony. Od połowy XVII

wieku, tj. od walk z Kozakami, Rosja zyskała dogodny pretekst do mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski, która — według ówczesnej propagandy moskiewskiej — gnębiła innowierców. Jakkolwiek rzeczywistość po stronie polskiej błędów i wykrezeń nie brakło, były one jednak minimalne w porównaniu z tym, co działo się w ówczesnej Europie, nie mówiąc już o samej Rosji.

W latach zupełnej słabości Rzeczypospolitej Rosja interweniuje w wewnętrzne sprawy Polski, postępując się nadal pretekstem religijnym. Car Piotr Wielki występuje jako obrońca unitów w Polsce, ale gdy w roku 1705 zajmuje Połock, tępi bezlitośnie i krwawo unitów, zmuszając ich do przyjęcia prawosławia. Później Katarzyna II nie zezwala na istnienie unitów w Rosji, natomiast domaga się



Orzeł zygmontowski ze zbiorów Muzeum im. Łubomirskich w Lwowie

miejsca w Senacie polskim dla unickiego biskupa Mochlewskiego. Już jednak cztery lata później, w okresie Konfederacji Barskiej, wojska moskiewskie więżą księży unickich i siłą nawracają ludność na prawosławie. Od pierwszego rozbioru, na ziemiach zagrabionych Rosją w ciągu dwóch lat gwałtem przepisuje półtora miliona unitów na Litwie, Ukrainie i Wołyniu na prawosławie. Na Ukrainie liczba parafii unickich spada z pięciu tysięcy na dwieście. Administracja moskiewska uniemożliwia wybór parochów unickich, uzależniając go od władz cywilnych.

Prześladowanie unitów trwa przez cały czas panowania Katarzyny II i ulega przerwie dopiero za syna jej, Pawła I i częściowo Aleksandra I. Natomiast Mikołaj I przystępuje natychmiast do zdecydowanej walki przeciw unii. W ciągu kilku lat, od 1826-32, wydaje on szereg ukazów, uniemożliwiających wykonywanie praktyk religijnych przez unitów. Zakazuje on sprzedawania unickich ksiąg do nabo-

żeństwa, poddaje administrację unicką ministrowi oświecenia, kasuje urzędy prowincjalistów bazylikańskich, rozwiązuje zakon unicki i wreszcie wydaje ukaz o małżeństwach mieszanych, na podstawie którego dzieci z małżeństwa prawosławno-unickiego przymusowo wychowywane są w wierze prawosławnej. Inne ukazy uniemożliwiają wszelką łączność między kościołem rzymsko katolickim a unitami. W akcji tej smutną rolę odegrał biskup Józef Siemaszko.

Wielu unitów dla uniknięcia przymusowego przejścia na prawosławie przyjmowało wyznanie rzymsko katolickie. Na skutek tego car zakazał takiej zmiany wyznania. W roku 1837 na Białorusi i Litwie z 1400 parafii unickich pozostało zaledwie 540. Stan posiadania unii kurczył się więc gwałtownie i wreszcie w zaborze rosyjskim pozostała zwręta grupa unitów jedynie w diecezji chełmskiej i na Podlasiu. Ataki administracji carskiej skierowały się na te tereny. Opór ludności przed przymusowym nawracaniem na prawosławie był zaciekły i doprowadził do wielu krwawych starć jak np. w Pratulnie czy Drelowie w roku 1874.

Bez względu na mniej czy więcej liberalne pozory rządu carskiego, akcja wyniszczenia unitów postępowała naprzód tak, że jeszcze w wieku XX, w roku 1905 doszło do krwawych prześladowań religijnych na Podlasiu, (Derewlin, Kroże), gdzie dla złamania onoru ludności wysyłano karne ekspedycje wojskowe.

W Polsce niepodległej unia utrzymała się — poza byłym zaborze austriackim — tylko na Podlasiu i Chełmszczyźnie, została natomiast w czasie zaborów zniszczona prawie całkowicie w reszcie Wołynia, na Polesiu czy Witebszczyźnie. Poza granicą polsko-sowiecką unia nie miała możliwości istnienia — jak zreszta wszelkie inne wyznania, z prawosławiem włącznie. Z chwila jednak, gdy w czasie obecnej wojny rząd sowiecki uznał, że wskazane jest powrót do pewnych planów imperializmu carskiego, przypominał też sobie o dwu poważnych narzędziach, jakimi były dla polityki carskiej: prawosławie i panslawizm, który tworzy się zreszta naogół ściśle z prawosławiem. Byliśmy więc świadkami restytucji kościoła prawosławnego w Moskwie, przy czym Stalin pełni wobec biskupów — jeżeli nie formalnie, to faktycznie — tę samą rolę, jaką niegdyś pełnił car. Oczywiście, że w związku z tym unia, jako organizacja uznająca autorytet i prymat papieża, skazana została na zagładę na wszystkich ziemiach, pozostałych pod władzą sowiecką. Natychmiast po wkroczeniu wojsk sowieckich do Małopolski Wschodniej rozpoczęły się represje w stosunku do duchowieństwa unickiego. Wielu biskupów zostało deportowanych w głąb Rosji. Uważając, że ewentualny opór został uniemożliwiony, władze sowieckie zwołały we Lwowie (ma-

rzec, 1946), „synod”, który zdecydował „powrót” unitów na łono kościoła prawosławnego. Stało się to w 350 lat po Unii Brzeskiej. Polityczne podłoże całej tej maskarady zostało ujawnione wyraźnie w adreście, jaki członkowie „synodu” wystosowali do Stalina. Adres ten mówi wyraźnie, że dzieło zniszczenia unii zostało umożliwione na skutek „zjednoczenia wszystkich ziem ukraińskich”.

Nie ulega wątpliwości, że akt „synodu” stanowi część ogólnego planu polityki sowieckiej zjednoczenia wszystkich zagarniętych terenów pod względem administracyjnym, gospodarczym, wojskowym a także i religijnym. Ponieważ bolszewizm jest kierunkiem o pretensjach prądu filozoficznego i to „doskonałego i wykończonego”, nie może zatem cierpieć jakiegokolwiek konkurencji podobnego prądu. Wszelka forma religii, czerpiąca swe natchnienie z zewnątrz, uznająca autorytet poza granicami państwa sowieckiego, musi być przez władze tepiona i zniszczona. Do dawnych celów polityki carskiej, przeimowanych skwapliwie przez obecnych



Cerkiew grecko katolicka św. Jura we Lwowie

władców Moskwy, dochodzi więc nieodzowną konsekwencją przybycia wojsk sowieckich. J. K.

## NA ODCINKU ROBOTNICZYM

Jestem starym pozeraczem w degod wielu już lat rozpoczynając państwowego maostrawnego pokanowit uprząki, tygodniki, zaraz po przebudzeniu się — jeszcze przed śniadaniem... Wraz z rutyną wyrabia człowiek w sobie, rzecz prosta, pewnego rodzaju smakoszostwo. Dzienniki, tygodniki — na czoło? Tak, ale tylko, jak porridge — pożywnie. Która gazeta jest pożywna? Oczywiście ta, która mówi prawdę. Gdzież jej szukać? Jest to, być może zdanie wojen, cieszy się prasa neutralna. Pamiętam, jak w latach okupacji wszelkiej w Polsce, naczytany patriotycznych gazetki i ostuchany polsko-londyńskiego radia, marzyłem w gronie przyjaciół: — Ba! żeby tak teraz skontrolować to wszystko w jakiejś gazecie szwajcarskiej, szwedzkiej...

Było to, oczywiście, niemożliwe. Zmuszeni do wielu ograniczeń, żyliśmy przez pięć lat z okładem odcieci od świata, a więc także od neutralnej prasy. Potem — ilustrując niejako przysłowie — wpadliśmy jak wiadomo z deszczu pod rybnę. Prasę kierowaną przez p. Goebelsa zastąpiła prasa kierowana przez p. Borejsę. Podobnie jak tamtej — goebelsowej — także i tej — borejszowej — nikt z nas, rzecz prosta, nie wierzył. Ostatecznie pewnego dnia miałem tego wszystkiego dosyć. Tęsknota za wolnym słowem, za możliwością czytania gazet, jakie mi się zamarało, to napewno nie była ostatnia z przyczyn, która mnie wypędziła z Kraju.

Teraz jestem w Rzymie. Czyż muszę komuś tłumaczyć, co robię? Czytuję masę gazet. Zachwiewa to mój budżet. Ale mam, co chciałem. Mam nareszcie prasę neutralną.

Zwłaszcza dwie depesze utkwiły mi świeżo w pamięci. Nie jestem sobkiem. Podzielię się nimi z „Ochotniczką”. Depesza pierwsza, z dnia 1 kwietnia, (ale to nie jest, niestety, prima aprilis...). Biorę ją z prasy szwajcarskiej: „Ze strony rosyjskiej poczyniono Niemcom nie obowiązujące narazie propozycje zmiany obecnej granicy wschodniej na korzyść Niemiec. Obszar mianowicie pomiędzy Odrą i Nisą miałby być zwrócony Niemcom. W ten sposób Dolny Śląsk administrowany obecnie przez Polaków znalazłby się z powrotem w Niemczech...” W dalszym ciągu pisze dziennikarz szwajcarski, że te propozycje rosyjskie należy traktować jako część nowej polityki sowieckiej w stosunku do Niemców. Ma ona zdobyć ich sympatie, a co za tym idzie, odbudować niemiecko-rosyjską współpracę. Najważniejszym krokiem na tej nowej drodze było wycofanie wojsk rosyjskich z całej niemal tzw. sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Pozostają tam obecnie jedynie nieliczne i względnie zdyscyplinowane formacje policyjne...

Drugą depeszę biorę z prasy szwedzkiej:

„Wiadomość o propozycji sowieckiej zwrócenia Niemcom około stu tysięcy kilometrów kwadratowych obszaru między Odrą i Nisą Łużycką, administrowanego obecnie przez Warszawę, nie przyniosła niespodziewanie. Jak wiadomo bolszewizm Rosja traktowała od początku powierzenie administracji tego obszaru Polakom jako prowizorium. Ten prowizorium w i z o r y c z n y stan rzeczy jest im w o i e b o w i e r s z a w o j e n e. Po b o w i e r s z a w o j e n e — pozwala Rosji na kokietowanie narodu niemieckiego obietnicą ewentualnego odebrania tych ziem Polakom. Po drugie — pozwala na tę samą grę z

Polakami... Niemcom mówi się: jeżeli będziecie naszymi przyjaciółmi, to postaramy się, żeby Dolny Śląsk należał do was, a jednocześnie Polakom w Warszawie powiada się: bądźcie grzeczni, chwalcie Bieruta i wstępujcie do P.P.R., a wtedy Dolny Śląsk pozostanie przy was. W ten sposób — jak stwierdza neutralny dziennikarz — w sowieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech tzw. argument Dolnego Śląska służy jako hasło agitacyjne niemieckiej partii komunistycznej, zaś na ziemiach polskich tym samym argumentem usiłują pomysłowi komuniści werbować naiwnych do P.P.R.... Wyraźnie powiedział na przykład ostatnio „wicepremier” Gomulka, że jedynie P. P. R. może zabezpieczyć Polskę tzw. tereny nieoedzyskane na zachodzie i dlatego wszyscy, którzy nie chcą się podporządkować polityce P.P.R.-u, szkodaż interesom zagranicznym Polski... I rzeczywiście — notuje dalej bezstronny dziennikarz szwedzki — na skutek tej perfidnej taktiki wpływu komunistyczne w Poznaniu, Wrocławiu i Lignicy są nieco większe niż w Warszawie i Krakowie”.

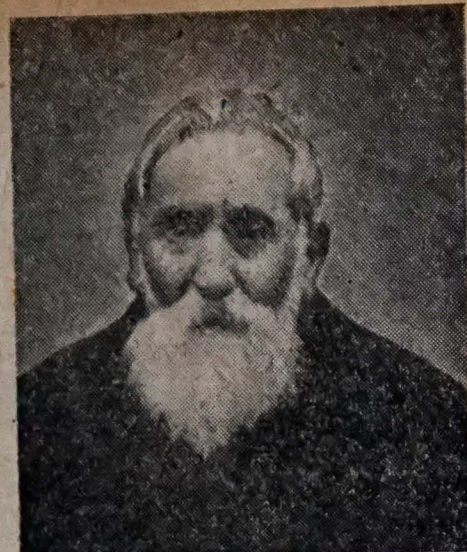
Tak, warto czytać gazety neutralne. Dowiadujemy się z nich dalej, jak ważna jest ta walka nieustanna — chociaż nie zawsze dochodząca do wiadomości publicznej — która toczy się nieprzerwanie w całej opanowanej przez Rosję Europie wschodniej o duszę warstw ludowych, o wpływ na chłopów, a zwłaszcza na robotników. Ostatnio (kwiecień 1946) najciekawszy odcinek tej walki stanowią właśnie wschodnie Niemcy. W całej sowieckiej strefie okupacyjnej rozpętano mianowicie niesłychanie intensywne kampanie propagandowe (i nie tylko propagandowe...) za połączeniem niemieckiej partii socjalno-dema-

\*) Unia polega na uznaniu przez podbiskupów następujących dogmatów: 1) Duch Sw. pochodzi od Boga Ojca i Syna. 2) istnieje czyściec. 3) papież jest zastępcą Chrystusa na ziemi. Zezwolono też unitom na przyjmowanie Komunii Sw. pod obiema postaciami (chleb niekwaszony).

kratycznej z niemiecką partią komunistyczną. Głównym argumentem w tej propagandzie jest właśnie, jak się tego łatwo domyślmy, — Dolny Śląsk... Intencja zaś jest zupełnie jasna. Chodzi o podporządkowanie całego niemieckiego ruchu robotniczego Moskwie, o pokonanie po prostu socjalistów niemieckich przez Komitern.

Sięgam znowu do źródeł neutralnych. Prasa szwajcarska donosi, że w ostatnich dniach marca br. 83 przywódców socjalistów niemieckich w sowieckiej strefie okupacyjnej osadzono w świeżo zorganizowanym obozie koncentracyjnym w Oranienburg... Tak, tak — wszystko idzie wedle dobrze nam znanego wzoru.

Także w Polsce — jak o tym doskonale wiemy — stosuje się tę samą metodę do polskich socjalistów, którzy chcą pozostać wierni starymu, prawdziwemu programowi P. P. S. Świeżo właśnie Komitet Zagraniczny Polskiej Partii Socjalistycznej stwierdził wobec całego świata w oficjalnej uchwał, że obecna P. P. S. w Kraju (tzw. fałszywa P. P. S. Osóbki i Szwalbego) „nie stanowi autentycznej reprezentacji polskiego ruchu socjalistycznego, kierownictwo Partii zostało bowiem narzucone przez obecnych członków nie mających nic wspólnego z P. P. S., jej program i założeniami, zaś próby stworzenia w Kraju samodzielnego polskiego ruchu socjalistycznego zostały przez reżim warszawski



**Bolesław Limanowski**  
Jeden z twórców polskiego socjalizmu.  
prezes senackiej sekcji PPS w pierwszym  
Senacie Polski Odrodzonej

unicestwione. W tych warunkach — cytuję dosłownie tekst uchwały socjalistów polskich obradujących w Londynie — Komitet Zagraniczny P.P.S., trwając na stanowisku zachowania wierności ideologii i programowi Partii, oraz zdając sobie sprawę z warunków politycznych w Kraju, uniemożliwiających prowadzenia działalności politycznej w myśl programu P. P. S., postanowił w dalszym ciągu być w świecie orędownikiem sprawy polskiego socjalizmu i sprawy polskiej”.

Jakaż to jest ideologia i jaki program? Warto, jak sądzę, poświęcić tej sprawie chwilę uwagi. Więc najpierw pamiętać należy, że P.P.S. ma wielką tradycję niepodległościową. Powstał do życia w Paryżu, w roku 1892 na zjeździe zagranicznej grupy działaczy socjalistycznych spod zaboru rosyjskiego (jakże powtarza się ta nasza historia... w pierwszym swym programie, w którym opracowaniu brali udział między innymi: Bolesław Limanowski, Józef Piłsudski, Feliks Perl, Gabriel Narutowicz i Stanisław Wojciechowski — spotkali się u siebie dwa hasła: walki o niepodległość polityczną narodu i walki o wyzwolenie społeczne klas pracujących. Te dwa hasła przyświecały niezmiennie całej, z górą pięćdziesięcioletniej pracy P. P. S. i — rzecz oczywista — także i obecnie są fundamentem jej programu i jej działalności. Czyż może kogoś dziwić, że ruch robotniczy, mający taką tradycję wierny tej tradycji — nie pozwolił się wprząc w rydwan koniunkturalnych zwycięzców i odrzuca z pogardą propagandę służby obcym celom i obcym interesom? I czyż trzeba podkreślać, jak to jest ważne, zwłaszcza w obecnej chwili wzmoczonego ataku sowieckiego władzy na odcinku robotniczym i w Polsce i w Niemczech i w całej Europie wschodniej i południowo-wschodniej. Rząd tylko w sposób tak wyraźny i oczywisty zabiega się zagadnienia polityczne z polityką wewnętrzną, gdzie dla polityki od postawy ideowej klasy robotniczej nie zależało tak niezmiernie dużo.

WIEŚLAW WOHNOUT

sowiecki postawił sobie za zadanie przygotowanie Rosji do wojny przez rozbudowę przemysłu ciężkiego. W książce Ryszarda Wrażli „Ustrój sowiecki” znajdziemy ciekawe dane: w 1914 roku jest w Rosji 74% włościan, w 1940 roku już tylko 53%. Wartość produkcji przemysłowej Rosji w 1913 roku wynosiła 42% wartości całej produkcji rosyjskiej. W 1937 roku wynosi ona już 77%. Świadczy to, że Rosja z kraju rolniczego stawała się rolniczo-przemysłowym.

### Czym kosztem uprzemysłowiono Rosję?

Każde społeczeństwo wytwarza dobra materialne, jak towary, maszyny, narzędzia itd. Roczny wytwór nazywamy dochodem społecznym. Z tego dane społeczeństwo część konsumuje, resztę zaś odkłada, inwestuje fabryki, maszyny, koleje itd. Im więcej z wytworzonego dochodu chce się za inwestować, tym mniej pozostaje na bieżące potrzeby. Ale zbudowane fabryki, koleje, maszyny i t.d. powiększają produkcję w przyszłości. Trzeba zatem wybierać, czy oszczędzać i inwestować, czy więcej zużywać na potrzeby obecne.

Decyzja, ile oszczędzać i ile konsumować, w społeczeństwach Zachodu zależy w dużej mierze od samego obywatela. W Rosji decyduje o tym wyłącznie państwo. Rząd sowiecki postanowił uprzemysłowić kraj, co pociągnęło za sobą zmianę w dotychczasowym rozdziale dochodu społecznego. Ponieważ obywatel w Rosji nie ma głosu, więc rząd sam postanowił przeznaczyć na uprzemysłowienie wszystko, co można było zabrać obywatelowi. Każdego, kto był w Rosji, uderzył niesłychanie niski, głodowy poziom życia przeciętnego pracownika sowieckiego. To była właśnie cena, którą Rosja płaciła za szybki rozbudowę przemysłu.

### Przemysł arsenałem nowoczesnej wojny

Poco jednak państwo sowieckie tak pośpiesznie dążyło do uprzemysłowienia kraju? Przecież w wolniejszym tempie udało się uzyskać to samo bez tylu ofiar i tak wielkich wyrzeczeń. Na to pytanie nie można znaleźć sensownej odpowiedzi ze stanowiska gospodarczego. Przyczyny, jak już wspomniano, były raczej polityczne a nawet wojskowej natury. Nowoczesna wojna wymaga nie tylko wielkiej armii i jednorazowego jej uzbrojenia. Zużycie sprzętu w nowoczesnej wojnie jest tak duże, że o sile wojskowej danego kraju decyduje nie to, ile kraj w danej chwili ma żołnierzy pod bronią, lecz czy obok silnej armii ma odpowiednio rozbudowany przemysł, który by mógł wytwarzać nowe czołgi, samoloty i armaty, w miarę zużycia się sprzętu na froncie. Uzbrojenia na długą metę wymagają wielkiego przemysłu, zwłaszcza



Żołnierze sowieccy zaopatrują się w towary lekkiego przemysłu...

ciężkiego, produkcji żelaza, maszyn, a więc kopalni i hut.

Rosyjskie plany pięcioletnie miały na celu właśnie tak szeroko pomyślane uzbrojenie. Przyznał to pośrednio sam Stalin w swej mowie przedwyborczej w lutym br. Według niego Związek Sowiecki udowodnił światu, że można rozwijać najpierw przemysł ciężki, a nie trzeba koniecznie zaczynać od rozwoju tzw. przemysłu lekkiego. Rozpoczynanie od przemysłu lekkiego cechuje właśnie kraje Zachodu. (Pod przemysłem lekkim rozumiemy te przemysły, które wyrabiają dobra i towary bezpośrednio konsumowane przez szerokie masy). W tym ujawnia się różnica między państwami, których celem jest dobro obywateli, a państwami, które za cel stawiają sobie wyłącznie potęgę militarną.

nie przez Rosję maszyn przemysłu z Mandżurii, jako łupu wojennego, choć Rosja była tylko jeden dzień w wojnie z Japonią, a Mandżuria ma być oddana Chinom.

Mimo tych rekwizycji i łupów, wiele trzeba jeszcze włożyć w odbudowę zachodniej Rosji. Państwo Zachodu, wobec ogromu takiego zadania, wezwałoby pomocy innych państw n.p. w formie większej pożyczki. To jednak wymaga współpracy i zaufania między narodami. Rosja wybrała inną drogę: w lutym br. Stalin w wspomnianej już mowie przedwyborczej zapowiedział nową pięcioletkę, która ma odbudować zniszczone części Rosji i rozbudować jeszcze więcej jej przemysł i wyposażenia wojskowe. Rosje czeka więc znowu pięć lat wysiłku zbrojeniowego.

Niewątpliwie obywatel sowiecki jest tym zmęczony. Zetknięcie się żołnierzy sowieckich z Amerykanami, Brytyjczykami, czy nawet z wrogimi Niemcami nie mogło pozostać bez śladu. Musieli dostrzec, że dobrobyt społeczeństw nie jest sprzeczny z potęgą państwa. Anglosasi przywiązywali nawet zbyt wielką wagę do tych doświadczeń sowieckich i amerykańskich publikacji przebiega myśl, że po tej wojnie Rosja będzie musiała zdjąć zbyt wielki ciężar odbudowy z obywatela sowieckiego i prosić resztę świata o współpracę w tej odbudowie. Stalin, zarządzając nową pięcioletką, stwierdził, że Rosja w niczym się nie zmieniła.

Władze sowieckie — jak się wydate — biora jednak w pewien sposób pod uwagę żywiołowe pragnienie mas rosyjskich podniesienia stopy życiowej. Stalin zapowiedział nawet podniesienie jej przez systematyczne obniżanie cen. Już w tej chwili obniżono cenę niektórych artykułów konsumpcyjnych. Umocniły to między innymi rekwi-

# NOWA PIĘCIOLETKA

Gospodarka rosyjska różni się bardzo od gospodarki innych państw. Przed tą wojną wydawało się, iż różnice polegają na tym, że w Polsce i na Zachodzie przeważały gospodarstwa rolne i przedsiębiorstwa w ręku prywatnych właścicieli, zaś w Rosji prawie wyłącznie działały przedsiębiorstwa państwowe i zrzeszenia przymusowe. Nawet gospodarstwa rolne były w ręku państwa (sowchozy) lub zrzeszeń przymusowych (kolchozy).

Już przed tą wojną w Polsce i na Zachodzie, n.p. w Stanach Zjednoczonych, Europie zachodniej itd. było coraz więcej przedsiębiorstw publicznych. Obecnie wiele państw zachodnich wyłącza szereg przedsiębiorstw z rąk prywatnych i tworzy z nich przedsiębiorstwa państwowe. Przykładem Wielka Brytania i Francja. Mimo to, różnice między gospodarką Zachodu i rosyjskiego Wschodu nie znikły. Przeciwnie, widzimy teraz tylko jasniej, że coś innego dzieli Rosję od reszty świata.

### Gospodarka planowa

Różnicę tę wyraża — stosunek do człowieka. Sprawa zniesienia własności prywatnych przedsiębiorstw jest natomiast mniej istotna. Również nie chodzi wcale o to, że w Rosji państwo planuje, co należy wytwarzać, na Zachodzie zaś państwo mniej się do tego wtrąca, chociaż i na Zachodzie państwo wkracza w te sprawy i w jakiś sposób wskazuje, co należy wytwarzać. Na Zachodzie jednak każdy obywatel sam decyduje o tym, co będzie jadł i co kupi, oraz ma prawo wyboru i zmiany miejsca pracy. Ostatecznym celem produkcji dóbr w krajach Zachodu jest człowiek i jego potrzeby, przy czym on sam o tym rozstrzyga.

Inaczej jest w Rosji. Potrzeby człowieka nie decydują tam o produkcji. Państwo, a właściwie jego rząd, wyznacza z góry, co trzeba wytwarzać i gdzie ma obywatel pracować. Nazywa się to centralnym planowaniem gospodarczym, w odróżnieniu od planowania na Zachodzie, gdzie uwzględnia się również głos tych, o których i dla

których się planuje. W takiej formie podarce, jak w Z.S.R.R., nie ma swobody wyboru konsumpcji i rozdziału pracy. To jest zasadniczą różnicą między Zachodem a Rosją.

### Plany pięcioletnie

Gospodarka rosyjska jest planowana w okresach pięcioletnich. Rząd sowiecki ogłasza, co zamierza w danym okresie wytworzyć i jakie fabryki czy urządzenia zostaną zbudowane. To są więc wytyczne, którymi w tym okresie będą się kierowały przedsiębiorstwa państwowe i zrzeszenia przymusowe.

Przed wojną rząd sowiecki przeprowadzał trzy takie plany, każdy na okres pięciu lat. Pierwsze dwa zostały w zarysie wykonane (jednak nie w pełni); natomiast podczas trzeciej pięcioletki wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, która przerwała wykonanie planu. Teraz znowu ustalono plan na najbliższe pięć lat.

Jaki cel stawia rząd swojemu planowaniu? wstecz, widać wyraźnie, że rząd

sowiecki  
Patrzac  
ze rząd



Za granicą zdobyte „placie” jest lepsze i — tańsze niż w ZSRR

zycze w krajach podbitych. Przede wszystkim jednak dużo przyrzeka sama pięciolatka. Wzniesieński, przewodniczący Komisji Planowania, na posiedzeniu Najwyższego Sowieta oświadczył, że pięciolatka ma za cel: odbudowę i rozwój ciężkiego przemysłu i komunikacji, produkcję rolniczych i przemysłowych dóbr konsumpcyjnych. Następstwem tego ma być „zapewnienie materialnego dobrobytu ludom Związku Sowieckiego” i dalsze zbrojenia.

Uderza w tym zestawieniu celów umieszczenie zbrojeń na końcu. Jeśli jednak pamiętamy, że ciężki przemysł i komunikacja mają również znaczenie wojskowe, to zrozumiemy, że nowa pięciolatka nie wiele różni się od

przedwojennych. W rzeczywistości więc znów na pierwszym miejscu postawiono zbrojenia.

Nowością jest zapowiedź podwyższenia poziomu życia w Rosji. Minister handlu, Liubimow, zapowiedział, że w 1950 r. — a więc w ostatnim roku pięciolatki będzie się wytwarzać i sprzedawać w Rosji o 50 procent więcej żywności i o 30 procent więcej przemysłowych dóbr konsumpcyjnych. Najbardziej ma wzrosnąć produkcja cukru, mięsa i odzieży.

Nie jest to zbyt wielkie ustępstwo państwa, gdyż Woznieńskij podkreślił, że plan przewiduje powiększenie wydajności pracy ludzkiej o 30 procent. Innymi słowy, obywatel sowiecki więcej zje i skonsumuje, jeśli jeszcze więcej

da z siebie wysiłku. Państwo natomiast nie zrezygnuje z tej części dochodu społecznego, która dotychczas zabierała.

Można mieć również wątpliwości, czy pięciolatka ta rzeczywiście powiększy udział obywatela w dochodzie społecznym, czy podniesie jego poziom życia. „Manchester Guardian” z dnia 25. 3. przypomina, że już raz zapowiedziano obywatelowi sowieckiemu pięciolatke konsumpcyjną. Gdy jednak nadszedł okres — a był to w roku 1937 — rząd sowiecki ocenił sytuację polityczną światła jako tak groźną, że nowa pięciolatka musiała stać się znowu pięciolatką zbrojeniową. Czas pokazał, że, czy czwarta pięciolatka spełniła swoje zapowiedzi.

Oficjalne oświadczenia sowieckie należy jednak przyjmować z wielką ostrożnością. Życzenia obywatela sowieckiego nie dotyczą przecież o polityce sowieckiej. W razie potrzeby propaganda tam gdzie rząd zechce. Zresztą obywatel sowiecki pragnie więcej dóbr konsumpcyjnych, lecz nie koniecznie musi je sam wytwarzać. Z zagarek, zdobytych na Niemcu lub „oswobodzonym”, zapewno jest lepszy od sowieckiego. Jakość towarów bezpośredniej konsumpcji w Rosji stoi na niesłychanie niskim poziomie. Towar zagraniczny jest w Rosji ogromnie za nią jakością cenniejszy. Jeśli więc sowieci będą mogli w dalszym ciągu powiększyć swoją „sferę bezpośredniego” i zajmować coraz nowsze kraje, to zaspokoją zarazem część potrzeb swych obywateli.

Czwarta pięciolatka jest zapowiedzią, która daje pewne złudzenia obywatelom Z.S.R.R., ale nie może zmylić czujności światła.

MARIAN WALENTYNIAN

# OSTRZEŻENIA

(MIESIĘCZNY PRZEGLĄD WYDARZEŃ)

Ostatni przegląd zakończyliśmy zwróceniem uwagi na zwrot, jaki nastąpił w postawie Stanów Zjednoczonych wobec bieżących zagadnień polityki światowej. Nazwaliśmy ten zwrot najważniejszym wydarzeniem ostatnich dni. Jest już dziś widoczne, że w ślad za tym coś się zmieniło w ogólnym układzie stosunków. Na czym polega ta zmiana?

## „Era nieufności”

Gdy, po zakończeniu działań wojennych, przyszedł okres, który paryski dziennik „Le Figaro” nazwał „Era nieufności” i rozluźniły się węzły sojuszków — to w zachowaniu się najpoważniejszego z wielkiej trójki mocarstwa, Stanów Zjednoczonych, można było zauważyć jak gdyby chęć odsunięcia się od żywszego udziału w sprawach,

nie obchodzących Ameryki bezpośrednio. Jednocześnie widać było dążenie do skupienia całej uwagi na tych obszarach, które interesują politykę amerykańską najżywiej, a więc przede wszystkim na Oceanie Spokojnym i we wschodniej Azji. Wszędzie indziej Stany Zjednoczone zamierzały — tak się wydawało — grać rolę pośrednika, łagodząc niogące powstać spory i nieporozumienia. Nazywano to polityką „apeasementu” czyli uspokojenia. W praktyce oznaczała ona dalsze ustępowanie na rzecz Związku Sowieckiego — bo z tej strony odzywały się coraz to nowe żądania i następowały coraz nowe przejawy „dynamizmu”

## Pojedynek

W tym stanie rzeczy Sowiety tym śmielej rozpoczęły ofensywę politycz-

ną, zmierną już wyraźnie do poważenia Wspólnoty Brytyjskiej, gdy się tylko dało. Słynne starcie Beria i Wyszyńskiego w czasie londyńskich obrad Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych było dramatycznym momentem pojedynku, który stoczył między dwiema stronami — Brytanią w obronie i Związkiem Sowieckim w natarciu — przy dość niedostatecznie zdecydowanej postawie wielkiej republiki amerykańskiej. Antysowieckie ustąpienie Churchilla w czasie powstania w Ameryce, połączone z apelem o silniejszy sojusz brytyjsko-amerykański, gwałtowna replika Stalina w wywiadzie, udzielenym moskiewskiej „Pravdzie” — to drugi, ostry fragment tego spięcia.

Pojedynekowi dyplomatycznemu towarzyszył widoczny pośpiech w politycz-

nych przygotowaniach za „kurią” sowiecką, a do drugiej strony — proces jakby stopniowego tęnienia demokratycznych sił społecznych Zachodu. Wysuniętym machom komunistycznych „kolumn” wschodniego totalizmu przeciwstawia się coraz wyraźniej socjalizm Europy zachodniej, który wziął w szeregu krajów na siebie rolę kierowniczą, za przykładem brytyjskiej Partii Pracy. Tu i ówdzie zaczęto już mówić o niewypowiedzianej jeszcze, ale już na terenie politycznym toczącej się wojnie. Naprężenie wzrastało, sytuacja zdawała się groźna.

## Koniec „Apeasementu”

W tańszej atmosferze opinia Stanów Zjednoczonych uznala, że „apeasement” do niczego dobrego nie doprowadzi. Ton prasy amerykańskiej stawał się coraz ostrzejszy. Świadczą o tym głosy dwojga bardzo wpływowych i głoćnych jej przedstawicieli. Walter Lippman pisał „New York Herald Tribune”: „Teza Churchilla, jakkolwiek prezydent był ogeeny przy jej wysunięciu, nie jest obecnie tezą polityki amerykańskiej. Ale może stać się tezą polityki amerykańskiej, jeżeli na Śr. Wschodzie, w Niemczech i w Chinach Związek Sowiecki uczyni współpracę tak niezwykle trudną, że na jej poparcie nie będzie niczego prócz rozczarowań i rozgoryczenia”. „Dobrze byłoby, gdyby nowa flota amerykańska udała się w podróż na wody europejskie i złożyła wizyty naszym sprzymierzeńcom... Byłoby z naszej strony „fair” pokazać im tę siłę... pomogłoby to w skorygowaniu wszelkich nieporozumień i błędów w rachunku”. — Znam publicystka amerykańska, Dorothy Thompson, która świadczyła w angielskim dzienniku „The Yorkshire Post”, że „czyniczne gwałcenie traktatów” przez Rosję wywołało oburzenie w Stanach Zjednoczonych. „W Związku Sowieckim — pisała — nie ma... wolnej opinii publicznej, a tam, gdzie Sowiety narzucają swe wpływy, opinia publiczna też jest skrupowana. Jest to największa i jedyna przeszkoda na drodze do pokoju i wzajemnego zrozumienia na świecie... Tylko siła może stworzyć organizację o charakterze światowym. W Brytanii i Stany Zjednoczone mają w swych rękach tę siłę... łącznie, a nie pojedynczo, każde z osobna. Fundamentem polityki sowieckiej jest chęć poróżnienia W. Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi”.

Rząd amerykański zapowiedział, w oświadczeniu sekretarza stanu Byrnesa, że poprze skargę Persji na nowojorskiej sesji Rady Bezpieczeństwa O.N.Z. Prezydent Truman wyraźnie dał do poznania, że St. Zjednoczone nie pozwolą na upadek Organizacji, nawet gdyby Związek Sow. zdecydował się ją opuścić.

## W Nowym Yorku — bez „Apeasementu”

Stanowisko, zajęte obecnie przez rząd i opinię amerykańską, mogłoby ująć tak: będziemy bronić ONZ, jej demokratycznych zasad, nie zważając na niczyje veto. Pragniemy to uczynić we

współpracy z sowietami, ale potrafimy to zrobić i bez nich — jesteśmy dość silni. Ostrzegamy.

Zmiana, która nastąpiła w postawie rządu, a częściowo i w opinii U.S.A. znalazła bardzo szybko wyraz w pierwszym dniu nowojorskiej sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Pomimo protestów sowieckiego delegata Gromyki, skarga perska z powodu niewycofania wojsk sowieckich w przewidzianym terminie (2 marca) i mieszania się do wewnętrznych spraw Iranu, znalazła się na porządku dziennym. (Rząd amerykański uprzedził byj zresztą, że sam wniesie skargę, jeżeli Persja tego nie uczyni). Wprawdzie delegat sowiecki opuścił manifestacyjnie salę obrad, oświadczając, że nie powróci przed upływem 16 dni, nie mniej jednak delegat perski przedstawił Radzie skargę swego rządu. W ślad za tym rząd Z.S.R.R. zapowiedział wycofanie wojsk z Persji w najbliższych tygodniach, jednak ze strony amerykańskiej oświadczone, że mimo debata nad sprawą pogwałcenia umowy odbędzie się 6 maja, zgodnie z postanowieniem Rady. Rozpoczęło się, również po ostrej nocie amerykańskiej, jakoby wycofywanie wojsk sowieckich z Mandżurii. Z okazji głosowania na Radzie Bezpieczeństwa zwrócono uwagę na fakt, że przeciwko stanowisku sowieckiemu padło 9 głosów, podczas gdy sowiecki wniosek poparli tylko 2 głosy: samego delegata sowieckiego i... przedstawiciela administracji warszawskiej, p. Langego.

## Smuga cienia

Można więc dziś już powiedzieć, w tej turze rozgrywki poniosły Sowiety oczywistą porażkę. Ale sprawy nie są bynajmniej proste i nawet wycofując się, pozostawiają wojska rosyjskie za sobą „smugę cienia”. Pozostawiają czyny niepokoju w Azerbejdżanie perskim, który świeżo stał się „autonomiczny”, pozostawiają rosnące wrzenie wśród Kurdów, których jest w Persji pół miliona, a łącznie z Turcją,

Irakiem, Syrią i Armenią sowiecką około trzeciu milionów, pozostawiają wreszcie... koncesje z wymuszonym na rządzie perskim 51% udziałem w przelazach łożyskach naftowych północnego Iranu, gdzie już były zaangażowane kapitały amerykańskie. O tym wszystkim jeszcze z pewnością usłyszymy.

## Blok wschodnio-europejski

Tymczasem zakończono już — jak twierdzi londyński tygodnik „Whitehall News” — pierwszą fazę budowy bloku wschodnio-europejskiego. Taki był bowiem rzeczywisty sens poroży między tymi do warszawy i Pragi. „Bułgaria, Czecznostowacja i Poisce kazano zawrzeć szereg dwustronnych układów „przyjazni i wzajemnej pomocy” z Jugosławią i w ten sposób Jugosławię stara się osiągnąć nowego bloku pro sowieckiego”. Dalszym etapem będzie, zdaniem tego pisma, stopniowa sowietyzacja tych krajów. Od Bałtyku, poprzez zachodnią granicę Polski, poprzez państwa bałkańskie, Bl. Wschód i północną Mandżurię powstaje, jak powiedział Stalin, „żelazna granica zewnętrzna” Związku Sowieckiego. O tym niedawno przypominał organ byłego ministra Edena „The Yorkshire Post”. Ostatnie wydarzenia na Węgrzech dają przedsmak przyszłości tym, którzy wyobrażali sobie, że wewnątrz tej „granicy” będzie można żyć swobodnie i demokratycznie. W krótkim czasie po wyborach, które przyniosły klęskę komunistom, wojska sowieckie zajęły spolecie Węgier, pocztę, telegraf i radiostacje, postawiono komunistę na czele ministerstwa obrony, tworzy się komunistyczna milicja, zapowiada się użycie siły jeżeli dojdzie do sprzeciwów. Oto — nagroda sowiecka za wybory demokratyczne.

## Skróty

Inne najważniejsze wydarzenia w skrócie telegraficznym: W. Brytanii ogłosiła niepodległość Transjordanii, nad którą dotychczas sprawowała man-



Z procesu w Norymbergii: Goering (w boksie) podczas przestuchania



Przedstawiciele komisji alianckiej angielsko-amerykańsko-francuskiej w hotelu Grand Bretagne w Atenach podczas wyborów w Grecji

dat z ramienia Ligi Narodów i zawarła z nią układ o przymierzu. Brytyjska misja rządowa wyjechała do Indii, gdzie obraduje z przedstawicielami ludności nadległego państwa hinduskiego. Rokowania z Egiptem w sprawie zmiany dotychczasowego traktatu są w toku. Wybory w Grecji odbyły się w spokoju, przynosząc zwycięstwo monarchistom, na skutek tego nastąpiła zmiana rządu. W Belgii utworzono, po dłuższych niepowodzeniach, rząd koalicji lewicowej pod przewodnictwem socjalisty Van Ackera. Natomiast w Bułgarii nie udało się próba rozszerzenia rządu na stronnictwa opozycyjne, czego domagały się Stany Zjednoczone. Socjaliści brytyjscy odmówili potężenia się z komunistami, dając im ostrą odprawę. Podobna odmowa — ze strony socjalistów berlińskich w strefie brytyjskiej i amerykańskiej. Przewódca francuskich socjalistów Blum, jako ambasador nadzwyczajny, czyni w Ameryce starania o pożyczkę dla Francji i prawdopodobnie ją uzyska. Sprawa pożyczki dla W. Brytanii już jest załatwiona. Mówi się o wznowieniu rozmów na temat przyłączenia między W. Brytanią i Francją. Na propozycję Francji, żądającej interwencji w Hiszpanii w celu obalenia rządu gen. Franco, W. Brytania i St. Zjednoczone odpowiedziały odmownie; orawiają się jakoby, że presja mogła by wywołać skutek odwrotny, jak to się stało w Argentynie, gdzie wbrew życzeniom Amerykanów, zwyciężył pik. Peron. BBC rozpoczęło nadawanie audycji w języku rosyjskim. Nie wiadomo, czy konferencja pokojowa która m.in. ma się zająć zawarciem traktatu pokojowego z Włochami, zbierze się w Paryżu w przewidzianym terminie, t.j. dnia 1 maja (mają ją poprzedzić narady czterech ministrów spraw zagranicznych). Przewodniczący sowieckiej Rady Najwyższej Kalinin ustąpił miejsca nowemu przewodniczącemu Szwernikowi.

## W kraju — dalsze zaognienia

Z Kraju napływają dalsze wiadomości o zaognieniu sytuacji, po odrzuceniu przez przywódcę Polskiego Stronnictwa Ludowego, Stanisława Mikołajczyka, propozycji przystąpienia do „bloku” wyborczego. Na zjazd „samopomocy chłopskiej”, który odbył się w Warszawie w pierwszej połowie marca, przybyło wprawdzie 700 delegatów PSL z Mikołajczykiem na czele, ale nie dopuszczono ich w ogóle do głosu, musieli więc opuścić salę obrad. Wzmogły się zatem napaści na Mikołajczyka i PSL w radio i w dziennikach. W ślad za tym nastąpiła rewizja w warszawskim lokalu PSL z udziałem, jak stwierdził londyński „Times” w obszernym sprawozdaniu, 300 członków „korpusu bezpieczeństwa” i tajnej policji. Szereg osób aresztowano. Wieść o podwyższeniu dostaw żywności do miast. Oprócz „korpusu bezpieczeństwa” ma powstać jeszcze „ochotnicza milicja obywatelska”, o szerokich uprawnieniach. A wybory — odłożono do jesieni. Wydarzenia w Polsce były tematem szeregu zapytań i dyskusji w brytyjskim parlamencie, gdzie pojawiają się już nawet głosy, opowiadające się za wycofaniem uznania obecnemu „rządowi” warszawskiemu, wobec nie wypełniania przez nich warunków, ustalonych w Jaltie i Poczdamie.

Delegat prezydenta St. Zjednoczonych Hoover, w swej podróży określonej po krajach, którym grozi głód, odwiedził i Polskę. Stwierdził, że sytuacja żywnościowa jest tam „rozdzierająca serce” i gorsza niż gdziekolwiek indziej. Agencja „Associated Press” doniosła o zamknięciu granic polskich za zgodą władz rosyjskich, na zachodzie i południu, w celu zatrzymania fali uciekinierów, którzy usiłują się przedostać do Europy zachodniej. Amerykański dziennik wojskowy „Stars and Stripes”

ogłosił przed kilku dniami korespondencję z Polski pod znamionym tytułem: „Polska w żelaznych kleszczach wojsk sowieckich”.

## Prasa brytyjska o wojsku polskim za granicą

Oświadczenie, złożone dnia 20 marca przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych p. Bevina w Izbie Gmin w sprawie wojska polskiego za granicą oraz treść ulotki, rozdanej następnie wszystkim żołnierzom polskim, wywołały bardzo ożywioną dyskusję w prasie brytyjskiej. W ciągu pierwszych dwu dni artykuły miały charakter informacyjny i wyrażały na ogół zadowolenie ze stanowiska, zajętego przez min. Bevina, przypominając jednocześnie zasługi wojska polskiego w ciągu całej wojny. Niektóre jednak wypowiadały wątpliwości co do przyjęcia treści ulotki przez żołnierzy polskich. Krytyczne uwagi pojawiły się liczniej w następnych artykułach.

I tak n.p. „The Daily Telegraph” z 21 marca pisał: Wątpliwe jest, by dokument ten w wystarczającym stopniu uspokajał tych, którzy mają optować za repatriacją lub już się za nią wypowiedzieli. Wielu Polaków, znajdujących się tutaj, pochodzi z tych części przedwojennej Polski, które zostały przyłączone do Rosji... Wszyscy oni mieli słusne czy nie słusne powody, dla których nie dowierzali, by przyjęcie, zgwarantowane im w dzisiejszej Polsce, było odpowiednim. Jest wątpliwe, czy zachęci ich do powrotu oświadczenie, złożone wczoraj przez min. Bevina, iż polski rząd prowizoryczny wymaga od żołnierzy polskich na obczyźnie, by składali indywidualne, podania o repatriację”.

„The Times” z 21 marca: „Uczyniono więc pierwszy krok na trudnej i delikatnej drodze. Ale należy stwierdzić, że ograniczono się tylko do tego. Nie wiadomo jeszcze jaki odsetek żołnierzy skorzysta z zaproszenia, które do nich wystosowano... Ze względu na to, plany rządu brytyjskiego muszą z konieczności mieć charakter tymczasowy, gdyż, rzecz oczywista, nie może on ich sformułować jasno dopóki nie będzie w posiadaniu danych co do liczby tych, którymi będzie się musiał zająć”.

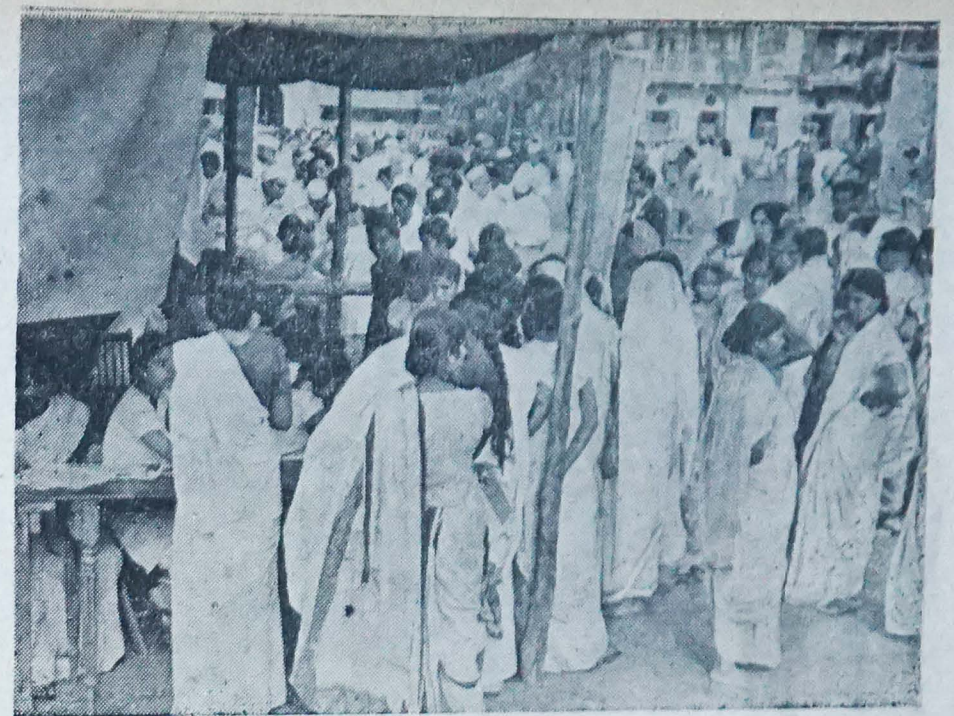
„The Manchester Guardian” z 21 marca ogłosił obszerny raport z rozmów, przeprowadzonych przez przedstawiciela pisma w południowej Szkocji z polskimi żołnierzami, marynarzami, lotnikami i ochotniczkami. W raporcie tym czytamy m.in.: „Wszyscy, mówiąc o ulotce, wzruszyli ramionami. Wstęp do tej ulotki — podkreślali — podpisany jest co prawda przez min. Bevina, ale oświadczenie warszawskie nie jest ani podpisane, ani datowane. Wszystko to jest pisane bardzo złą polszczyzną. Jakaż wartość może mieć ten świestek papieru n. p. Gdańsku? Jednocześnie wszyscy wyrazili chęć powrotu do Polski, by dopomóc w odbudowie zniszczonego kraju (podkreślali nawet to zdanie Bevina w ulotce), ale też wszyscy z wyjątkową jedynością stoją na stanowisku, że w obecnym wstrząśnięciu powracać nie mogą. Słusznie, czy nie

słusznie, są oni przekonani, że ich kraj jest pod panowaniem sowieckim, że jest sowietyzowany i że wprowadza się tam wschodnie porządki. Będą oni skłonni wrócić, ale dopiero, gdy otrzymają dowody że wybrany w wolnych wyborach rząd demokratyczny rzeczywiście reprezentuje naród polski i prowadzi polską politykę — gdy wszystkie wojska rosyjskie opuszczą Polskę, a przede wszystkim, gdy na dobre opuści ten kraj policja polityczna”.

„News Chronicle” z 22 marca pisze: „Polacy nadal niechętnie zapatrują się na możliwość repatriacji pomimo apelu min. Bevina i zapewnień rządu warszawskiego... 75% żołnierzy polskich w Szkocji, których pytał o to wczoraj korespondent „News Chronicle” oświadczyło, że w dalszym ciągu nie zamierza opuścić W. Brytanii i, że wspomniany apel w niczym się nie przyczyni do wyjaśnienia sytuacji”.

Tygodnik „Time and Tide” z 23 marca: „Rząd brytyjski uważa, gwarantując rząd warszawskiego za wystarczające, jednak dla większości żołnierzy polskich na Zachodzie gwarancje te mogą się okazać niezadawalające... Doświadczenie współrodaków i kolegów może tylko zniszczyć zaufanie wielu żołnierzy polskich do obecnych propozycji. Twarde warunki życia poza granicami Polski mogą być jednak lepsze niżeli przyszłość, z którą żołnierz polski może się spotkać w Polsce”.

Tygodnik „Catholic Herald” z 23 marca: „Bezmyślne rozwiązanie (folish disbanding) wojsk generała Andersa pod naciskiem Rosji zaszkodzi niewątpliwie Włochom, które są krajem politycznie niestabilizowanym i nie mają dostatecznej ilości wojska i



Kobiety hinduskie tłumnie głosują

policji... Los zgrotowany wojsku polskiemu jest szaleństwem oraz niewdzięcznością”.

Korespondent Reutersa z Rzymu doniósł, że pierwszą reakcją żołnierzy 2. Korpusu w jednostkach stacjonowanych w pobliżu Rzymu jest powątpiewanie i brak zaufania. Jednym z powodów tego braku zaufania jest włączenie do tekstu wyjątków z mów Zymierskiego oraz innych przedstawicieli administracji warszawskiej, którzy wyrażali się o gen. Andersie i jego żołnierzach jako o „reakcjonistach i faszystach”. Około 30% żołnierzy 2. Korpusu służyło w wermachcie, bądź też w organizacjach roboczych niemieckich —

obecnie zadają sobie oni pytanie, w jaki sposób będziemy mogli udowodnić, że zostaliśmy zmuszeni do służenia Niemcom”.

Tygodnik „The Tablet” z 23 marca: „Nikt, a najmniej chyba sam minister Bevin nie spodziewa się, aby którykolwiek z żołnierzy polskich przywiązywał dużą wagę do słownych zapewnień Bolesława Bieruta i jego kolegów, którzy nie szanują ani litery ani ducha zobowiązań. W zamian za te zobowiązania rząd brytyjski w złowróżbnym momencie popełnił wielką pomyłkę, uznając tych ludzi za rząd polski”.

JAN PODOLSKI

# W TROSCE O DZIECI POLSKIE

Odpowiedzialność za dzieci polskie, rzucone na obczyznę podmuchami wojny, za dzieci, wyrwane przemocą z gniazd rodzinnych przez barbarzyńców XX wieku, przesuwa się z bark rodziców na barki inne, na szerokie kręgi Polaków, rozsianych po świecie, świadomych sytuacji i zadań naszego narodu.

Tysiące rodzin poległo w walce lub we wrogich kaźniach, tysiące rozdzielili o dzieci przestrzenie morsk, stepów i pustyni. Jedni z tych, co pozostali przy życiu, są za siedmioma górami i siedmioma rzekami, inni tylko za jedną sztuczną, ale „żelazną kurtyną”.

A dzieci polskie rozsiane po świecie cierpiały przez te lata i cierpią jeszcze nadal o wiele bardziej niż dorośli, bo są bardziej bezbronni i nie wiedzą dlaczego cierpią, dlaczego nie mają dziś domu i najbliższych przy sobie.

Tragicznie przedstawia się bilans doli dziecięcej po stronie rosyjskiej. Irena Wasilewska, autorka niezmiernie cennej książki „Za winy nie popełnione” (Rzym, 1945) podaje z miarodajnych źródeł polskich, że Rosja deportowała w latach 1939-41

w głąb swych obszarów około 140 tysięcy dzieci polskich z ziem przez

siebie zagarniętych. Z liczby tej — zgonów, władzom polskim wiado-



Kobiety z Zamojszczyzny wywiezione do Niemiec z dziećmi, które polem odbierano matkom



Dzieci polskie po powrocie z ZSRR

nej, głębokiej i dalekosiędnej myśli i działania.

W działaniu tym potrzebna jest koordynacja wysiłków, potrzebne jest porozumienie się z sobą najsłabszych serc i umysłów, ludzi oddanych szczerze sprawie wychowania i nauczania, znawców z dziedziny opieki społecznej, psychologii, psychotechniki, prawa, pediatrii, higieny, pismennictwa itp.

Potrzebne jest porozumienie i związane się z sobą instytucji i stowarzyszeń społecznych, które na różnych terenach już prace opieki nad dziećmi i młodzieżą skutecznie prowadzą.

Potrzebna jest większa liczba ludzi do pracy, potrzebne jest szkolenie kadr nowych pracowników w dziedzinie pielęgnacji, opieki, wychowania i nauczania. Odczuwa się wielki brak dobrych, przygotowanych do pracy pedagogów. Młode pokolenie roślin i dojrzenia w warunkach nienormalnych — przyszłość jest niepokojąca, toteż wielką jest nasza odpowiedzialność przed historią za los przyszłego pokolenia Polski.

Zastanówmy się nad naszym udziałem w tych zadaniach tak niezwykłej wagi, nad możliwością wzmoczenia wysiłku i skoordynowania działań.

ALFA

## ŚCIEŻKA

Skąd się wywijasz i dokąd ścieżka italska mnie niesiesz — mnie, barbarzyńcę z Pctnoy w zielonym battle-dressie?

Błądzą bezwolnie: ty prowadź po śpicznych wzgórzach, dolinach: otrząsam z butów podkutyach proch twojej dostojnej gliny.

Płaków twych głos jest mi obcy i nazwać cił nie potrafie, w pyle urwiska zaśpionych, ni twoich miodowych kwiatów.

Kluczysz, falując beztrasko, nieba przykryta ogromem. Gdziekolwiek pójde za tobą, nigdy nie znajdę już domu.

Wiem tylko jedno: nie wiedziesz do wrzuszającej pasieki, do słończników, malw swojskich, wierzb, sadu, łk nad rzeką!

Na pięknym, obcym pejzażu ślepy z tęsknoty wzrok utknął: prowadzisz znikąd do nikąd.

Wiesz od smutku do smutku.

HELENA ZELWEROWICZ

## Artykuł dyskusyjny

# KLIMAT MORALNY

Czytałem w „Ochotnicze” artykuł dyskusyjny o wychowaniu młodzieży.)

Poruszony w nich temat jest jedną z najważniejszych spraw. Nasze pokolenie młodzieży gorąco pragnie wiedzieć, jak jest wychowywana, jaką będzie młodzieżą, która przyjdzie po nas, rzucając, jak kamienie na szaniec.

Znalazłem w poprzednich artykułach trafny charakterystykę współczesnej młodzieży. Rozmyślaliśmy nad nią z kolegami. Prawdziwa.

Mało miałem czasu w moim życiu żołoskim do zastanawiania się nad problemami psychologii i pedagogiki, o wiele więcej miałem do czynienia z karabinem maszynowym i pistoletem, niż z piórem. Chęć po prostu do siebie i od kolegów, z którymi dyskutowaliśmy artykuły „Ochotniczek”, dołączyć do tej dyskusji nasze myśli.

Wiemy, że jesteśmy tacy, jakimi urabiliśmy nas warunki życia, w których dziesięństwo nasze kształtowało się w młodość, warunki życia splecione, jak życie naszego narodu, dające nam jednak atmosferę wielkich przeżyć duchowych.

Mamy szereg braków, masę wad, ale również wiele cennych zdobyczy charakteru, których nie powinniśmy zatracić. Przyjmując ten stan faktyczny, szukamy sposobów, aby nasze pokolenie mogło utrzymać i rozwijać zdobyte wartości, a wady i braki przetwarzać w wartości nowe.

Pragnąłbym w moim artykule podkreślić, jak ważną sprawą jest klimat psychiczny, w którym rozwijają się nasze charaktery.

Wzamy na początek zalety, które pragnęlibyśmy rozwinąć w naszym pokoleniu.

Moja poprzedniczka w dyskusji, p. Zagórska, podkreśliła w swym artykule zdobyty przez nas cech: inicjatywę i przedsiębiorczość. Chodzi o to, by cecha ta nie została przytłumiona, by nie zabiła jej atmosfera środowiska wychowawczego, które zmuszało by do rozwijania się życia młodzieży w ramach z góry przygotowanych, zwięzających widnokreśli samodzielnego myślenia.

Szczęciem byłoby znalezienie się w środowisku, które wzmacniałoby wiarę młodzieży we własne siły i możliwości. szczęściem byłaby atmosfera, która dawałaby możliwość dużej swobody działania, była przepojona ufnością, że powierzone zadanie będzie wykonane jak najsumienniej i budziła w młodzieży poczucie odpowiedzialności za podjętą pracę: atmosfera, oczyszczona z dokuczliwej drobniagowej kontroli szczegółów bez istotnego znaczenia.

Natomiast konieczna dla atmosfery wychowawczej byłaby kontrola najdokładniejsza w sprawach wychowawczych zasadniczych, na przykład w sprawach uczciwości i prawdomówności. W takich sprawach środowisko wychowawcze musi stworzyć niezawodną i nieustępliwą opinię społeczną.

\*) „Ochotniczka nr. 2. r. 1946 — artykuł: „Uwagi na temat wychowania młodzieży” i nr. 3, art.: „Jeszcze o młodzieży”.

Gdyby młodzież musiała się wychowywać w innej atmosferze, byłoby to ciężkim zarządzeniem losu.

Drugim osiągnięciem naszej, odpowiedzialnej za losy narodu młodości, jest zdobyta w ciężkich przejściach życia bezinteresowność osobista. Jakże czujna musi być atmosfera moralna, która by pozwoliła tę cechę zachować. Nie mogą jej zafałszować żadne górnotłote słowa, żadne puste frazesy bez pokrycia — o ideałach, szczytnych celach i wysokich wymaganiach moralnych. W młodzieży, czujna na wszelki fałsz, można wpoić tylko te zasady, nauczyć ją służyć tylko tym ideałom, w które wychowawca naprawdę sam wierzy i których świadectwem jest jego własne życie. Przełożeni, czy podwładni, wychowawcy, czy wychowani muszą — wśród tej cichej (której nietrudno dojrzeć) solidarności zmateralizowanego świata — mieć swoją własną, wspólną drogę i świadomość tego, w jaki sposób pragną kształtować oblicze przyszłej Polski, którą budować chcą na mocnych i niezwalczonych podstawach moralnych.

Trzecią cechą młodzieży polskiej, zdobyta w przeżytych latach wojny, jest obudzona świadomość społeczna i polityczna. Musi być ona umocniona odpowiednim wychowaniem politycznym. Wychowanie to, jak każde wychowanie, powinno być możliwie jak najbardziej bezinteresowne, powinno dokonywać się w atmosferze możliwie jak najczystszej, jak najbardziej wolnej od interesów jednostkowych czy partyjnych. Młodzież powinna poznać całokształt biegu spraw polityczno-społecznych na świecie i układ sił politycznych i społecznych polskich. Trzeba jej dostarczyć materiału do osobistych studiów.

Wśród splecionych węzłów życia wojennej Europy należy jej się od wychowawców prawda, prawda własna, polska, nie zamącona żadnym interesem, wydobyta do stopnia możliwie osiągalnego w obecnej sytuacji. I jeszcze: wychowanie musi wyrabiać w młodzieży poszanowanie dla przekonań odmiennych, chęć zgłębienia cudzej prawdy i umiejętność przyznania racji innym. Jednostronny system wychowywania politycznego, rozpoczęty w zbyt wczesnym okresie rozwoju życia umysłowego jednostki, poznałoby dobrze we wrogich systemach, które ujawniły się w czasie przeżytej wojny. Własne błędy można poznać tylko różnorodnością oświelenia, własne prawdy można rzetelnie wybrać tylko osobistym wysiłkiem.

Każde wychowanie musi oprzeć się na cechach wrodzonych — narodu czy jednostki. Ta wrodzona cecha Polaków, która musi być w wychowaniu uwzględniona, jest umiłowanie wolności — sunionia, jest umiłowanie wolności — sunionia, myśli i czynu — i ta zbiorowa odpowiedzialność za wspólną przyszłość.

Na ckałdecie

„ZMARTWYCH WSTANIE“  
pędzla Perugina — Rzym, Watykan

która wychowanie może przytłumić lub rozwinąć.

Za naszą przyszłość odpowiadamy wszyscy, zespoleni hasłami niepodległości i prawdziwej demokracji. MIR

## Z ŻYCIA TEATROW 2. KORPUSU

(Pen.) Przy teatrze dramatycznym 2. Korpusu powstało Studium Teatralne. Uroczyste otwarcie odbyło się 31. 3. 46 r. Przewidziany jest kurs roczny, na który przyjęto 23 kandydatów (w tym 7 kobiet) z pośród żołnierzy i ochotniczek 2. Korpusu. Jest to bodaj pierwsza szkoła tego typu, do której uczęszcza znacznie więcej kobiet aniżeli mężczyzn. Wśród wykładowców wymienić należy: reż. W. Radulskiego, dr. L. Kiełanowskiego, Jadwigę Domańską, reż. Z. Żelwerowicz-Ochomowa, mgr. Koessler-Zeromska, art. mal. J. Orłowicza i t.d. Cykl wykładów ogólnych zapoczątkowała prelekcja o kulturze ruchowej człowieka teatru red. J. Ostrowskiego.

\*\*\*

Dnia 30. 3. br. Teatr Polowy pod kierownictwem K. Krukowskiego obchodził rewiał „Czym chała bogata...” pięciolecie swej pracy artystycznej, zapoczątkowanej w Buzutuiku w r. 1941. Na przedstawieniu i tradycyjnej lampce wina po występach, obecny był Dowódca 2. Korpusu, gen. Wł. Anders.

\*\*\*

Dnia 22. 3. br. w jednym z pierwszych przedstawień „Wiele hałasu o nic”, Szekspira w reż. Radulskiego, obchodzić będzie Ludwik Ławiński w roli Don Pedra 35-lecie pracy sceniczej.

\*\*\*

Czynny na terenie Bazy 2. Korpusu „Teatr Żołnierski Bazy” pod kier. por. Witolda Sikorskiego, dał już 126 przedstawień.

\*\*\*

Na terenie Korpusu występuje obecnie kameralny zespół rewioowy pod dyr. Fryderyka Jarosiego.

\*\*\*

Dla oddziałów 2. Korpusu, znajdujących się na Śr. Wschodzie, organizowany jest teatr pod nazwą „Kwiaty Pustyni” pod kier. J. Załuskiego.

\*\*\*

Teatr Dramatyczny 2. Korpusu, pracując równolegle na trzy zespoły, przygotowuje obecnie premiery trzech sztuk: komedii Benedettiego „Szkariatne róże”, Szekspira „Wiele hałasu o nic” w reż. W. Radulskiego i „Skalmiełzanki” Kamuskiego.

W dalszych zamierzeniach są: Wyspiańskiego „Zygmunt August”, Moliere „Lekarz mimowoli” i Dickens „Świerszcz za konimem”.





Bogna Krasnodębska-Gardowska — drzeworyt

## TRENY O MATCE

...A co innego zaczyna się — pamiętasz — od obłoków. Idą bielsze niż zwykle, ogromne i czyste, jak płótna św. Anny, w które później owinięto Ciało. Od ziemi jeszcze wieje gnicieciem i rozrzuconym nawozem, ale już otwierają się pierwsze źródła stokrotek. Struny deszczów stoją skosem, wyraźne i rzadkie jak u barfy, ale niebo zaraz się rozrywa i znów idą białe obłoki. Na prętach wierzb siedzą kotki, siwe paki, które pozwałałaś połykać, jak wesołe lekarstwo wiosny.

I od nich zaczynała się Wielkanoc, pora strzelania z kalikloru w szmatach i kluczach, baranka z cukrowymi lokami i kusznych fiołków, które trzymało się w kieszkach.

W Wielki Piątek budziłaś nas nim słońce zeszło. Świat był mokry, pół czarły od nocy i pół siwy od dnia. Prowadziłaś przez ogród nad rzekę. Woda szła jeszcze śpiąca i ciężka jak zwierz, z obłokami na grzbiecie i w rudych kudłach. Sród kijanek stała gwiazda zaranna, która jadła nieruchoma płotka. Trzeba było klęknąć na niskiej kładce, nabrać w dłonie tej utopionej gwiazdy i obmyć sobie ręce, oczy i usta. Bo w Wielki Piątek jest woda najsmutniejsza i najczystsza. Bo, mówiłaś, ma w sobie łzy Matki Boskiej. Kiedy przemyło się oczy, w wo-

dzie leżały już złote kubki słońca, a pod kładką uspokajała się biała chmurka. Rzeką szły siwe koła. Na ścieżce stał nad różową glistą kogut i krzychał jak setnik. Zaraz za jego czerwonym grzebieniem zaczynało się niebo kwietniowe i blade.

Wieczór uczyniony był z ciszy i bruchatych żab, które dudniły na jednej szklanej nucie. Jedna oparła o wysokoą łodygę podgardle i wargi zwisłe, jak u krowy. Staw zalał trochę murawy i widać było pod wodą stokrotki.

Kiedyśmy z tego żabięgo życia wchodził w wilgoć i ciemność kościoła, pasadka pachniała ziemią, przy ławkach stały gołe i śliskie kije, od których odjęto chorągiew, na ołtarzach bez obrusów leżały przewrócone lichtarze, tak jak je zostawiono o trzeciej godzinie opuszczenia i zwiśnię Głowy. Dzwony milczały jak zabite skowrenki.

Ale z jednego miejsca szło światło, ciepły zapach wosku i zimny hiacyntów. Obłoczki kwiatów leżały na liściach zrobionych jak z samej zielonej wody, wspiętej na palcach, i dotykały dziurawych stóp, wzdętych żeber i długich loków, leżących z czarnego żoła. I nigdy nie wiedziało się na pewno od długiego patrzenia, czy Pan Jezus ma oczy zamknięte,

czy trochę otwarte. Złoty strażak był ważniejszy od Hannibala z historii Zakrzewskiego. To, żeby tam stać w takim kasku, w pasie ze sznurów i z toporkiem na plecach, było urzędem, o którym wąpiło się z goryczą, czy kiedykolwiek będzie nam dany za życia. Nachylałaś się i mówiłaś mi we włosy: — Patrz na Pana Jezusa nie na strażaka! — Czarne kropielnice wiszą puste i wyschłe, jak źródła nieżywe, a pod nimi ustawiają cebrzy z wodą, żeby ją jutro święcić. Wtedy śpiewałaś razem z babami, które klękały w nadętych dzwonach spódnice przy filarach:

*Dobranoc Ci Głowo Święta w  
ciemniowej koronie —*

Gdyśmy wrócili, dom stał w zapachach wymytego drewna okien, obranych jajek i wody hiacyntów, których muzykę przyniosłaś chyba we włosach.

A w rano Wielkanocne wszystko było zimne. Płótno wdziwanej bielizny i niebios niebieskie jak sasanki. Na ulicach leżała złota woda słońca i nagle poleciało nad nią strzelanie i dzwony, jak mowa odzyskana w najśliczniejszym momencie życia.

*We — so — ty — nam — dzień —  
dziś — nas — tał —*

Procesja wyszła na różowe powietrze. Później, gdy już staliśmy w domu nad zimnym obrusem, najpierw długo patrzyłaś na talerz z jajkiem. Leżało jak pokrojona gwiazda o złotych płucach. Czysta i bardzo wesoła.

Nad wieczorem chodziłaś po domu jakby wielka pani, raz na rok nic nie robiąc, przelewając sobie przez palce to szczęście zmierzchu świątecznego, jak spokojną wodę. I śpiewałaś po cichu, rada nam, swej siwiznie i wszystkim rzeczom życia.

*Trzy Maryje poszły —*

Za oknem stały drzewa, od młodych liści żółte jak kaczkuszki. Zgarniałaś dłonią do dłoni okruszyny ciasta z obruska.

*Drogie maście niosły —*

\*\*\*

Ostrożnie, jak w ciemną wodę, wchodził w dzień po śnie spoconym i złym bledniejsz, gdy kraze wrona, ptak, który zapowiada ci zawsze jakąś czarną goliznę.

Widziałem kiedyś, jak obie swarzyłyście się, obie zmokłe, bo właśnie był październik i padało, jak tylko w październiku potrafi nieraz padać. Przez spanie słyszy się blachę rygnię, a już rano jest tyle deszczu, że aż łatwiej było w taki psi czas poznać smutny sens wszystkiego. Chmury i chmury i wiatr gregoriański.

Ptaszyisko siadło na kominie niskiej oficyny i zanosiło się od krakania. Uczepione pazurami cegły, aż się kiwało od wydzierania skrzeku z płucek przekrwawionych. Wiatr bił od tyłu i wylaływał pióra, które stercały w różne strony, jakby je kto powtykał. Skrzydła co chwile szły na boki, a na łebku zrobił się róg z potarganego i mokrego pierza. Diabeł nieszczęścia mojej matki. Otworzyłaś okno i tak, jak stałaś, z garnkiem w jednej ręce, drugą ile sił machałaś, żeby odpędzić stworę. Nie pomogło. Wybiłaś na podwórko. Złapałaś kamyk i rzu-

ciłaś nim, ale diabeł dalej siedział na twoim domu. Zaczęłaś bić powietrze rękami, fartuchem, czymś, co miało być jakimś słowem, a wyszło ci z gardła skrzekiem podobnym do tamtego. Wrona darła się — i w deszczu byłyście tylko dwie naprzeciw siebie. Wiatr ciągnął ci siwe włosy do góry, ręce podniósł nad głowę i machałaś palcami, a na cegle oficyny, w której gnieździły się szeszury, trwał rozkiwany wrzask, samo diable pierze z czerwonym, wąskim językiem w gnatach dzioba. Bo ty zawsze wieszysz możliwość nieszczęścia i nie ma pory, w której nie czułabyś złej wróżby i domysłanej klęski.

\*\*\*

Zajęta igłą, mydłem i ogniem, prawie nie widzisz piękna stąd widocznego: chmur, liści i ciał niebieskich, które nocą ocierają się o twoje okno. I właśnie wtedy wstałaś. W długiej koszuli. Z kosmykami włosów na czole i uszach.

Utykająca od pracy kości dźwigniętych w środku nocy z postania. Bo w lampce oliwnej na komodzie skwierczał knotek i trzeba go było poprawić. Spławik się topił i ciągnął za sobą płomyk, który strzelał i chwał się razem z cieniami rzeczy. Anioły z gipsu, ustawione przy lampie, klęczały już nie na komodzie, ale na ścianie, odchylały się, nachylały w dół i na boki, w tańcu czy rozpacz. w śmieszkach czy dialogu. Szłaś na nie mała i słaba i nagle, już w ich granicach, zaczęłaś rosnać ponad komodę i ścianę, aż się musiałaś zgiąć przy suficie, nim i jego połowę nakryłaś ogromnymi ramionami i ogromnymi włosami. I tak poprawiałaś knotek, włączona w anioły z cienia, razem z nimi nachylająca się i odchylająca, w tańcu czy rozpacz, w śmieszkach, czy dialogu.

A potem podeszłaś do otwartego okna. Jak to ty: żeby zobaczyć choć na moment, czy w podwórku wszystko w po-

rządki, żeby się upewnić, że dokoła twojego domu jest spokój. Ale stałaś dłużej. Ciemność i niebo uczynione były z czerwca, nut żabich i własnich z tych ciał niebieskich. W dole są banie kasztanów i kamienice z drewnianymi komórkami, a wysoko czysta substancja Niedźwiedzi. Pociąg gwizdał. Patrzyłaś na niebo księżyców, młodzieńckiego miłostnego listu jaskółek i ostatniej godziny życia. Podwórko było ciche, dom mógł przetrwać do rana.

Potem zaczęłaś iść przez jeden pokój, drugi, wreszcie stanęłaś na progu między obydwojma. W koszuli i boso, rozczochrana, z siwymi kosmykami na czole i uszach. Nasłuchiwałaś naszych oddechów, jak muzyki, która może uspokoić wszystko. Żaby kumkały w podmiejskich glińkach przy ceglarni.

Nareszcie serce ci biło równo.

TADEUSZ SUEKOWSKI

## W DOMU MAMULECZKI

(OPOWIADANIE KRAWCOWEJ)

Życie pracownicy igły tylko wtedy jest nudne, kiedy krawcowa jest krawcową. Jeśli natomiast jest z zawodu tetratką, malarką, doktorem filozofii lub nauczycielką, a z konieczności historycznej żołnierzem A. K., wtedy życie nad stołem zarzuconym gałgankami, może być ciekawe, wesołe i pouczające.

Całymi dniami przychodzą klientki. Czyż nie jesteś na wystawie karykatur lub na premierze francuskiej komedii? Ledwie, zerwawszy się o świcie po długim nocnym syciu, przydzwigałaś węgiel z piwnicy i napaliłaś w piecu, już ci rozkoszna pani otworzy szeroko drzwi na lodowaty korytarz i czeka aż za nią zamkną. Ledwo w pocie czoła wyświecisz osadzkę, już ci uśmiechnięta dama w zasnieżonych botach stanie przed lustrem, a towarzyszący jej synaczek, swawolny Dyzio, zwędziwszy ci cichcem nożyczki, potnie na drobny mak ostatni numer, na którego kupienie wydałaś wartość ośmiu obiadów. Czyż nie spacerujesz po ogrodzie zoologicznym?

Codzienny wariacki wyścig za Pieniądzem i Czasem, przypomina karuzelę w Luna Parku. Klientka zapowiada na przykład: paltro konieczne na jutro. Szyjesz dzień i noc. Alifci klientka kupiła tymczasem karakuty i zjawia się po miesiącu. A że nie zapłaciła w porę? Trudno. Brak obiadu ma też swój smak. Odnosisz robotę i rozważasz: czy puszczą od frontu, czy każą wejść przez kuchnię? A może dadzą dwa złote napiwku? Parskasz śmiechem, dziurawe pantofle piszcza na błotnistym śniegu. Przed wojną tobie odnoszono suknie, dziś odnosisz ty. Rezultat społeczny jednakowy w sumie. A dwa złote, to pół bułki.

Trzy miesiące byłam krawcową, ale trzy kwartały nie starczą na spisanie pamiętników z owego czasu. Szyłyśmy we dwie, malarka i literatka. Coraz więcej przyzwyczajony palt chodziło po miasteczku, ale nikt nie wiedział, jaką ilością nieprzespanych nocy nadrabiamy niefachowód.

Owszem, jedna osoba wiedziała: „Mamuleczka”. Sypiała w sąsiednim pokoju i napewno nieraz przeszkadzała jej światło przez szparę.

W jej to bowiem mieszkaniu, owej niezapomnianej „Mamuleczki”, wynajęłyśmy pokój. Kiedy po raz pierwszy otworzyła nam drzwi, szepnęłam do koleżanki: „tak musiała wyglądać królowa ze Szklanej Góry, kiedy skończyła lat 70”. Włoseczki białe, leciutkie, nieskazitelnie srebrne; oczy źródlane, niezabudkowane; wargi gładkie, różowe od dobrych słów; nasek misteryn, rasowy, lica przejrzyste. Postać zdobniała, sukieneczyna czarna, schludna, na ramionach wełniak wiejski: królewska purpura.

— Julu, wiesz, daj spokój z szyciem, lepiej maluj to cudo — powiadam cicho.

— Owszem, jeśli lubisz na obiad polewkę z metylenblau i czerwieni pompejańskiej.

— Proszę pani, ile kosztuje ten piękny pokój — pytam nieśmiało.

— Oficer niemiecki płacił z rekwizycji 30 złotych, więc od Warszawianek nie wezmę więcej.

— Nam, przywoitym żołnierzom z Powstania nie wypada stosować się do niemieckich cen — śmieje się Julia.

— Pokój w mieście kosztuje 300 złotych bez pościeli — wtrącam.

Targ w targ, staruszka trochę obrażona godzi się na 150, ale za to przyobleka oba łóżka w śnieżną, haftowaną pościel i wsuwa pod okno własną, nową maszynę do szycia, wobec tego, że Julia zwierzyła się z naszych projektów krawieckich.

Kiedy pod wieczór wprowadzamy do kryształowego mieszkania nasze dwa niewymownie brudne osoby, pozbawione doszczętnie jakichkolwiek manatów, prócz koca przemokłego do nitki — na stole wita nas zielona misa złotych gruszek, a z półki uśmiecha się bukiet czerwonych dala. Julia sięga po chusteczki. Zapomniała, że minęły burżujskie czasy chustek do nosa. W kieszeni jest

tylko dziura. Cheesz beczec, to becz, ale nos wycieraj palcem.

Czyżbyśmy znowu byli ludźmi? Po piekle Powstania, po wszach i poniewierce Pruszkowa, po dwudziestogodzinnej jeździe na stojąco w otwartej węglarni, w lodowatym deszczu październikowej nocy, w ścisłym tłumie obłąkanych głodem i rozpacz, omdlałych z ran, oddających pod siebie kał i mocz, rodzących dzieci — również na stojąco, zdychających na czerwonce, więzionych w Nieznane, może do pieców Oświęcimia — teraz znowu mamy być ludźmi?

Wczoraj w ciemności pierwszej nocy bez pożarów, z krainy całych szyb i stojących domów, z jakichś mijanych stacyjek, wiosek, lasów i dróg, gdzieś koło Skierniewic, Rogowa, czy Kuluszek, głosy niewidzialnych ludzi krzychały ku naszemu pociągowi:

— Kto jedzie?

— Warszawa! — wołaliśmy tłumem na węglarkach, jakby głosem po ciemku podnosząc sztandar. Wtedy z ciemności padały na nas jabłka, bułki, cebula.

— Jaka dzielnica jedzie? — pytały dalej głosy niewidzialnej Polski.

— Mokotów! Żoliborz! — dumnie przedstawiali się wagony.

A od dzisiaj, w małym miasteczku, już tylko szyc, by żyć. Ale cud, że nie Oświęcim, nie roboty w Rzeszy.

— No co? Warto by się rozpakować? — mówię do Julii. — Warto się umyć i przebrać, nie uważasz?

Nie mamy ręcznika, nie mamy mydła, ani żadnej szczytki; nie mamy nocnych koszul, ani odzieży na zmianę. A tu pościel śnieżna i cudza. Ogromne lustro przyszyte pracowni krawieckiej odbija postacie malarki i literatki: żółte twarze, umazane deszczem w dymie lokomotywy, szkielety nóg i ramion, obwisłe kurtki powstańcze, buty ciężkie jeszcze od gliny rozoranych pociskami ulic: Puławskiej, Odolańskiej, Tynieckiej, Szustra... Kochanych. Nieobronionych.

— Proszę na gorące mleczko — zagłada przez drzwi główka srebrna i błękitnoróżowa. Głos jest po dziecinieciu miękki, naiwny, tkliwy. Usta podają słowa samym tylko brzękiem warg i czemuś słowa te wydają się kulkami białego puchu. — W łazience już napaliłam. Mydło i ręczniki czekają.

Tak żyłyśmy pod dachem śliczne, pani przez gorzką zimę 1944 — 45. Mamuleczka — jak nazywała ją cała miejscina — niewątpliwie nie była człowiekiem. Była wieloną bajką Andersena, nie nie wiedząc o własnym czarze. Królestwo jej stanowiła kuchenka, kuchenka też z bajki. Nie żadne tam wielkomięjskie wynysły kafelkowe, ale po prostu białe ściągły sosnowe sprzęty, wyszorowane na brylam, krochmalone płótna, lśniące naczynia. W oknie zielone góry, a przez sam środek okna, koło godziny czwartej, malinowa kula zachodzącego słońca nad horyzontem jodłowym i śnieżnym. Nieraz umyślnie dłużej obierałam w tej kuchence kartofle, żeby dziwnie się, jak mistrzyni Mamuleczka rozpala ogień, jak gotuje, jak sprząta. To nie była praca, to były ci, chutkie czary. Delikatne palce dotykały pieca i piec natychmiast grzał pokornie. Rondelki nie śmiały się okopcić, ziemniaczki wychodziły spod kozika, jak uto czone z kości słońskiej, makaron nabierał cienkości anielskich włosów. Taka aureola wykwiutu była niewątpliwie owocem czarów, takie posłuszeństwo przedmiotów musiało być wywołane zaklęciami. Mamuleczka żyła z przedmiotami za pan brat.

— Gotuj się, mleczko — poszeptowała nad rondelkiem — nie zbiegnij!

Jadła bardzo skromnie. Żyła tylko z tego, co nadeszły dorosłe dzieci z sąsiednich miast. Ale czasem Mamuleczkę napadało łakomstwo. Działo się to zawsze tego dnia, kiedy gotowałyśmy na obiad tylko kartofle. Mamuleczka czarowała wtedy makę z jajkami i prawdziwym cukrem, po czym z życzliwego piecyka wyskakiwały cacka złocistych plauszków: ciepłe mleko uśmiechało się z kubków, a kasztanowa kawa starała się pachnąć prawdziwą.

— Może by tak panie zjadły ze mną podwieczorek? — wołał głos z kuchenki. — Właśnie słońce zachodzi, robota nie zajec, a mnie starej nudno bez towarzystwa.

Nas dwie było Mamuleczce mało. Wzięła sobie jeszcze do domu młodą warszawiankę, ranną w głowę, rękę i bok. Sama ją myła, otulała pierzynką, czesała wała smakołykami. Coraz to coś z domowej szafy wędrowało na targ, na sprzedaż: to obrus haftowany, to prześcierała z merzka. Nieraz wieczorami gawędziłam z Mamuleczką w ciepłym gnieździe kuchenki, jedząc kaszę wprost z patelni, stojącej na ciepłej płytce, zawstydzona, że tak ordynarnie zachowuję się w krainie czarów. Nie mogłam się nadziwić mądrości starszki i dobremu pięknu, które rozkwitało dokoła niej, niewiadomo jak i kiedy, niezimym krokiem na wiosnę. Jaka to warstwa społeczna, jaka historia życia — myślałam nieraz — wydała tę kolację tak wykwiutną, tak słodką, tak nieomyślnie bliższą prawdy? Dowiedzieć się w miasteczku było niestrudno: Srebra Pani skończyła w dzieciństwie parę oddziałów jakiejsz szkoły i nicomal w tymże dzieciństwie wyszła za miejscowego pinciarza, obdarzonego despotycznym hu-

morem i siedmiorgiem dzieci z pierwszaj żony. Młoda „Mamuleczka” wychowywała wszystkie te cudze i jedno własne — syna. Tego syna, już inżyniera, zabrali jej Niemcy przed, czterema laty i trzymają w Dachau. Nie zaznała nigdy nie, prócz ciężkiej pracy.

Jest czwartek. W domu Mamuleczki, co czwartek, wszystkie sprzęty i naczynia stają na baczność. Piecyk służy żarliwie, łyżki wirują, blachy brzęczą. Cichutko, pokornie, ale z wyraźną skwapliwością, Pieczeni i strucla układają się grzeździwo w tekturowym pudle. Pojadą do syna. Czwartkowe paczki są właściwym życiem ziemskim Mamuleczki. A każdy jej ruch dnia powszedniego dlatego może wyglądać niezmiernie, że jest modlitwą.

Poza naszą pracownią, jeszcze dwa pokoje wychodziły na korytarz: niezamieszkały gabinet syna i mały gabinetek, zawsze komuś wynajęty. W tym pierwszym, Mamuleczka odprawiała własnoręcznie codzienny obrządek czarodziejskiego sprzątania i sama zaklinała piec. Stały tam niezliczone książki syna, duże



rys. K. Domńska

biurko syna, fotografia syna, otulona w zieleni. Pokój miał rozkaz czekać, więc lśnił, dyszał ciepłem, pamiętał i czekał. Mamuleczka spędzała tam szarą godzinę. Dostownie w chwili, kiedy malinowe słońce dotykało śniegów i jodeł, z dużego gabinetu dochodził poczynał szelest różańca. „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...” — szepotała Mamuleczka, oparłszy się czarną suknią o ciepły piec. Miękkie nici tego szepotu owijały dom spokojem, jak smugi płynącego zmięzchu.

Gdzieś koło grudnia, do małego gabinetu sprowadził się pan Jan. Był duży, łagodny, flegmatyczny. Polecił go znajomym znajomym. Płacił dobre komorne, a paczki do Dachau kosztowały słono. Nowy lokator mieszkał spokojnie, skromnie i ubogo, tylko bardzo szybko przyjmował panów. Zawsze po jednym i zawsze na krótko. Bez poczęstunku, ot, sucha wymiana myśli. Musiał mieć lat ze trzydzieści. Spotykaliśmy go czasem na korytarzu lub w kuchni, gdzie odgrzewał mizerna żywność, przyniesioną z miasta. Obie z Julą nie zamieniłyśmy z nim nigdy ani słowa, prócz krótkiego powitania. Kiedyś tylko, pamiętam, grzejąc żelazko w kuchni, zanuciłam mimowoli w obecności pana Jana:

„It's a long, long way to Tipperary, It's a long way to go...”

Spojrzał zdumiony. Krawcowa w małym, polskim miasteczku? Uśmiechnęłam się i zamilkłam. Nie zapytał o nic. Kto ja? Kto on? W tych czasach nie należało pytać.

Mamuleczka traktowała nowego lokatora słodko, jak nas wszystkich, ale uważałam, że obserwuje go ukradkiem, bacznie, jakby niespokojnie. My obie szły również. Wszystkie ze szczerą sympatią.

Któregoś wieczoru, już późno, wykieś czamy w ręku robotę. Z pokoju Jana, przez ścianę, zaczyna dochodzić klekot, maszyny do pisania.

— Dałabym 100 złotych, jak nie mam — odzywa się Julia — żeby wiedzieć, który to artykuł „Wiadomości Wojskowych”, jaki przeczytamy za tydzień, rodzi się w tej chwili na tej maszynie?

— I w dodatku morduje się chłopczyzna, nie przypuszczając, że ma za ścianą litratkę w skórce szwaczki — dodaje — Machnęłabym mu to w mig, a on będzie bazgrał do rana.

Mija pół godziny, może godzina. — Słyszysz? Teraz podkreśla tytuł — Uśmiecha się Julia.

Tuk, tuk, tuk, tuk, terkocze szybko maszyna jednym klawiszem.

— A mnie się zdaje, że to nie artykuł, tylko rozkazy do oddziałów — mówię.

— Skąd wiesz? — Nie nie wiem. Węszę dopiero. Lubię wiedzieć, z kim mieszkam. — Szyjemy cicho. Jan pisze, dochodzi północ.

Łomot w bramę! Maszyna milknie, jak zgaszona. Po chwili słychać skrzyp zawiasów na dole, a zaraz potem, z dołu, po schodach, żelazny tupot niemieckich butów i szeczekanie rozmowy.

— Po niego! — krzyczy szepem Julia. Już jestem w drzwiach pokoju Jana. — Wszystko do mnie! — syczę.

Plika zapisanych arkuszy pada w moje ręce. Chłopak zielony, jak jego kurtka, wsuwa naiwnie maszynę pod łóżko. Wpadam do pracowni. Niemieckie kroki już na naszym piętrze. Gorączkowo faseruję kartkami przewróconego w tym celu przez Julę manekina.

Niemcy poszli o piętro wyżej. Noc minęła spokojnie. Rano, bez słowa, oddałam Janowi kartki i nie wiem dotychczas, co pisał. Podziękował krótko i nigdy więcej nie wspomnieliśmy o tym. Mamuleczka i chora warszawianka przospały nocną scenę. Chwała Bogu, że starszka nie wie.

— Jan nie jest ostrożny — stwierdziłam kiedyś.

— Jan jest nieostrożny — poprawia Julia.

Któregoś wieczora, Jan nie wrócił do domu przed godziną policyjną, co oznaczało, że w ogóle nie wróci na noc. Ponieważ zaś nigdy dotychczas nie zaniebijał uprzedzić Mamuleczki, jeśli nocował na mieście, niepokój domowników był uzasadniony.

— Widocznie Jana wzięli z ulicy — stwierdziła głucho Julia.

Tytuł już znajomych zniknęło w ten sposób, że nikt nie pozwalał sobie na wyrażanie jakichkolwiek uczuć, gdyż rozumiały się one same przez się. Mówiło się tylko technicznie o sposobach ratunku, czy zatarcia śladów.

W Warszawie wiedziałabym, który guzik trzeba nacisnąć. — wdycha Julia.

— Tu jestem tabaka w rogu.

— Słuchaj, tabako — mówię po chwili — jeśli go wzięli, to należałoby...

— Właśnie — odpowiada Julia.

Ale jak porządkować cudzy pokój, nie uprzedzwszy pani domu? A jednak nie wolno niepokoić Mamuleczki, starej i kruchej, jak schnące źdźbło.

Puk — puk. — Proszę!

To właśnie wchodzi Mamuleczka. Nie pyta, jak zwykle: „no, coż się dzisiaj pięknego szyje?”, tylko siada i milczy. Widocznie chce powiedzieć coś ważnego.

— Pan Jan prosił mnie o kapiel na dziś wieczór — mówi wreszcie.

Tak, to ważne, to niemal dowód.

— Nasza chora zasnęła — oświadcza po chwili starszka.

Tak, to również ważne, to zbliża nas do celu.

Aż nagle od razu: — Chodźmy we trzy do jego pokoju, natychmiast, bo mogą przyjść Niemcy!

Więc czarodziejsko gospodarne ręce ujarzmiają nie tylko przedmioty, ale i sytuację? Idziemy. Pokój Jana nabit jest nielegalszczyzną, jak lipcowy ul — miodem. Archiwum z kilku lat, kopie

rozkazów za rok i kasa, kasa! Chyba cały jeden zrzut. Wory tego wszystkiego. A ja, głupia, „ratowałam” go od kilku kartek!



rys. K. Domńska

— Nie wolno trzymać tylu rzeczy razem — blednie Mamuleczka.

— Nie wolno nie uprzedzić gospodyni — dodaje zła.

— Nie wolno mieć składu tam, gdzie się mieszka — kipi Julia.

— Nie wolno na tym dynamicznie przyjmować łączników — kończy fachowo starszka.

Przez dobrą godzinę wtykałyśmy papiery i kapitały w najfantastyczniejsze miejsca strychu, piwnicy i wszystkich składzików, starannie osłaniając świeczkę. Dowodziła nami i dyrygowała starsza pani. Wszystkie trzy wiedziałyśmy doskonale, że jeśli Niemcy wpadli na trop, to takie pośpieszne porządki są naiwną zabawką.

— Dzieciak! — Partacz! — pogadywała Mamuleczka. — To się przecież robi zupełnie inaczej.

Mordujemy się długo, śpimy nienajlepiej. O dziewiątej rano zjawia się Jan. Był na imieninach, zapomniał o kapieli, zapomniał uprzedzić, telefonu nie ma, bardzo przeprasza...

Wtedy Mamuleczka we własnej osobie ukazała się na tle kuchni. Wyglądała surowo, wyniośle, oczy miała prawie czarne.

— Panie Janie, proszę na rozmowę — zakomenderowała generalskim tonem.

Podziernany oficer odruchowo sprzężył się na baczność.

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

## O KONWENCJI I O POEZJI

wali gotowe rozwiązanie, obowiązująca w ich epoce techniczna formułka i w jej ramach pisali dramaty.

Wyspiański odrzucił skamieniały „przepis” swego czasu, a jednocześnie odkrył dla dramatu wielkie ramy konwencji teatru poetyckiego, pomieścił się w nim sam, a jego następcy, w tych ramach, przez niego zakreślonych, zamieścili także, choć na szczęście nie zamknęli, dramat wielkiej trójcy romantycznej.

Różni więc Wyspiańskiego i wywyższa ponad wszystko, co przed nim w naszym teatrze było twórczym rozwiązaniem zagadnień twórczości teatralnej. Coż to jest konwencja teatralna? Właściwie ta konwencja teatralna, która napewno kto inny, bo trudno uciec przed atakującą sugestią tych kłębujących się, narastających myśli. Chciałabym tylko zwrócić uwagę na zupełnie inny, a wydaje mi się, że nie błądzą aspekt „Wyzwolenia” — dramatu odkrywanej i odnawianej konwencji. Nie znaczy to, abym uważała, że Wyspiański stworzył zagadnienie umowności teatralnej. Problem ten musiał stać przed każdym dramaturgiem — i przed nim i po nim. Różnica jednak między poetą, a jego poprzednikami w Polsce jest dość oczywista: tamci, albo zostawiali stworzenie życia teatralnego dla swego utworu łascie losu, przyszłości i technikom teatralnym, albo przyjmowali

Wspomniał o nim i kiedy już zdecydował się pokazać publiczności te „nieszczenicze” dramaty, technicy teatru naglieli poezję do swoich, więcej niż skromnych możliwości i gustów, zamknęli ją w naturalistycznych ramkach. Natomiast Fredro i późniejsi pisarze dramatyczni z czasów pozytywizmu dostosowali się pokornie do wymagań współczesnego im teatru, ulegli i skromnie przewidując i usuwając wszystkie możliwe trudności. Dramaturdzy XIX w. pisza więc albo nie dla teatru, albo dla już istniejącego, uznanego. Nie wiadomo, co było gorsze. Teatr, nie zmuszany przez dramaty do skoków naprzód, stanął zadowolony z siebie i ze wszystkich „dostawców”, ciesząc się dobrym aktoństwem, wypoczywając, bez trudności i zagadnień do rozwiązania.

Tyle o małej konwencji czyli konwencjonalizmie. Istnieje jednak jeszcze konwencja wielka. Została obwołana przez swoich wyznawców bodajże za istotę teatru, w którym, jak powiedział Wyspiański, „ma być jak w życiu, ale inaczej”. Ta konwencja ma za zadanie stworzenie dramatu właściwych warunków teatralnego życia, to znaczy przyjęcie zasad tym życiem rządzących, odrębnych od praw, które kierują rzeczywistością, a tak absolutnych, jak konieczność odżywiania dla organizmu. Tak przynajmniej na ogół rozumiano pojęcie konwencji w Polsce. Jasne jest, że ta nazwa: „konwencja” — nie jest zupełnie

\* Stanisław Wyspiański: „Wyzwolenie” Biblioteka „Orla Białego”, Rzym, 1946.

stuszną: nie chodzi przecież o kreowanie umownych znaków i praw, ale o odkrywanie nieodkrytych i zapoznanych, a najbardziej rzeczywistych reguł.

Jakież są te prawa, których odkrywca i odnowicielem w Polsce stał się Wyspiański? Przede wszystkim — prawo skrótów i prawo symbolu, prawo niezależnego teatralnego czasu i przestrzeni, prawo wielorakiego jednocześnie widzenia. I jeszcze — prawo bajki. Wszystkie te prawdy są aż nazbyt znane i od bardzo już dawna nikt nie próbował zaprzeczać prawa do nich poetom. Tylko w teatrze musieli o nie walczyć znacznie dłużej, może zresztą z własnej swej winy. Ludzie teatru o wiele później poznali prawa swojej sztuki, niż poeci. Od Szekspira po wiek XIX, za wyjątkiem samotnego Moliere'a, nie było ludzi teatru w pełnym sensie tego słowa. Nie było nikogo, kto by pra-

wo poezji w teatrze rozumiał, jednocześnie umiejąc je realizować. Prawdy, jasne kiedyś i oczywiste, poszły w zapomnienie i na dobrą sprawę teatr poetycki (teatr, nie dramat!) trzeba było zacząć budować od nowa z niczego. Wielka konwencja wynaturzyła się ostatecznie w mały konwencjonalizm, szukając praw teatru nie w nim samym, ale w rzeczywistości, poza nim stojącej.

W „Wyzwoleniu” — w dramacie, który dzieje się na scenie, najdokładniej, pedantycznie określonej scenie krakowskiego teatru, która jednocześnie, prawem poezji, jest sobą samą i Polską całą, tak jak Konrad jest aktorem na tej scenie grającym i dyktatorem, organizującym w sobie przyszłe państwo — Wyspiański, odnowiciel teatru, ukazuje się wyraźniej, niż gdziekolwiek indziej. Inne „sceniczne postaci” „Wyzwolenia” są i skabotyniały aktorami z pro-

wincjonalnego teatru i reprezentantami tej Polskiej zastanej i wreszcie klawiszami, w które poeta uderza, żeby wygrać spór Konrada z Konradem.

Wyspiański odkrył, oczyścił i odnowił konwencję teatralną — tak twierdzą wyznawcy zasady umowności w teatrze. Ale jaką konwencję? Przecież nie tę małą, nie konwencjonalizm. Więc wielką? Ale to znów, okazuje się, nie jest wcale konwencją. Wydaje się dziś, że cała kilkudziesięcioletnia polska dyskusja o teatrze konwencjonalnym polegała na pomyleniu znaczeń słów. Były kraje, gdzie rzeczywiście walczono o teatr pełen umownych znaków i gestów, ale u nas grupa, która wypisała sobie na sztandarze hasła teatru antynaturalistycznego i konwencjonalnego, walczyła właściwie — o teatr poetycki.

IRENA ZAGÓRSKA.

## WIERSE BRONISŁAWA PRZYŁUSKIGO

### O PANNIE SAMOTNEJ

Urosłaś, panno samotna,  
warkocze chłodne zaplotłaś.

Pobiegiesz po wodę wieczorem,  
a studnia ci całym jeziorem!

Zapieni się woda daleka,  
zadudni, zaszumi, jak rzeka.

A kiedy dwie konwie zanurzasz,  
to kwitniesz na lustrze jak róża.

I chwycie się woda głęboka,  
jak patrzysz z takiego wysoka.

Falują studzienne marzenia  
i fala ci uśmiech odmienia.

Wracasz do domu i tęsknisz,  
to zanurysz — to westchniesz —

Jużes inna, niżes była,  
jużes inna powróciła.

Przystanęłaś w drzwiach, na smudze,  
serce inne masz, cudze.

Oczy taisz, usta kryjesz,  
usta jakieś masz niczyje.

Piers przestaniasz wstydliwie,  
jak po morskim odpiwiewie,

I mówisz „co to będzie”  
i drża piersi tabędzie...

Nic nie będzie, o panno,  
róžo, lilio, dziewanno!

Nic nie będzie, nic, a nic,  
tylko pustka bez granic.

Coraz ciężej, coraz trudniej  
będzie chodzić do studni

po wodę, po urodę...  
Przeleca lata młode.

A pocus urosła samotna,  
Pocus warkocze zaplotła?

### BALLADA O RYCERZU

O ten Jaś, inny Jaś  
w progę stoi, nie wchodzi —  
z wojaczki do dom wrócił,  
czoła nie rozpogodził.

Chmura nad czołem wysokim,  
czołem sokolim.

Siądź-że, Jasiu, między swymi,  
zamknij wrota na pole.

Coś tam śpiewał rycerskiego,  
jakieś dziwy zaoczył,

coś tam pijał za górami,  
gdzieś zbrojnie koniem toczył. —

Wina pewnie junackie,  
czerwone wina w dzbanach,

po zamkach nocą zdobyte  
na obcych kasztelanach.

Wina czerwone —  
zapach wiśniowy w różanym gaju —  
mów-że, Jasiu, mów-że kochany. —

„Wodę z Dunaju”,  
wodę obcą i mętną — powiedział szczerze  
i pancerza uchylił,  
krwią żywą błysnął,

potem ręką do rany i serce ku nam cisnął.

Więc zaczęliśmy mówić żalne pacierzo.

### SNY MOJE

Do snów się znówu sposobie,  
do snów nauyikim zawczasu,  
zawczasu taki się robie,  
żeby się snami zasnuć.

Sny moje — bywało już dnieje,  
a mnie ziemia spod nóg ucieka,  
sny moje i moje nadzieje,  
przybywajcie mamie i urzekać!

Dotykajcie mnie, jak płochę dziewczynny,  
przeszywajcie, mnie, jak strzałę Sebastiana  
i umarli niech przychodzą w odwiedzinny —  
choďte z nimi i gadamy do rana.

A sny kwitną — tylko sny tak umieją —  
przystanęłam zagubiony nad globem —  
twoje ręce na mych oczach bieleją,  
znówu przyszłaś — nie wiem jakim sposobem.

## CZY WOJNA PRZYWRÓCIŁA TWARZ KOBIECIE?

Każdy chyba zadał sobie bodaj raz pytanie, czy uroda do czegoś obowiązująca?

Jeż razy zdarza się spotkać w życiu twarz o idealnie regularnych rysach, wspaniałej karnacji i przepysznych włosach, w której oczach ciemnych i głębokich, kryje się jak gdyby wyraz smutku, zamyślenia i urażonej dumy ludzkiej. Niby jakieś poczucie zawodu i dysproporcji między wyrazem i treścią, przyziemnym losem i przeznaczeniem do rzeczy wyższych.

Wystarczy jednak odezwanie się, śmiech, nieopanowany odruch, aby wywołać w nas wrażenie dysonansu, na który wewnętrznie się wzdramy. Zbyt krzykliwe, jeśli nie ochryple nawet, brzmienie głosu, banalne słowa, brutalny wręcz grymas — wszystko świadczy o nieopanowaniu, trywialności. A potem wracają rysy do swego idealnego spokoju i harmonii, a spod długich rzęs spływają na nie znów woal zamyślenia.

Na tego rodzaju rozbieżności zwrócono już uwagę w literaturze. Malując podobną postać w swej „Ewie przyszłości”, Villiers de l'Isle-Adam pisał, że „rys jej niebiańskiej urody zdawały się być czymś obcym dla niej samej, jej słowa brzmiały jakby nie na miejscu. Jakby uwieszone były w jej głosie. Swą najgłębszą istotą oskarżała siebie samą o pozostawanie w nieustannej sprzeczności ze swą formą zewnętrzną. Można by powiedzieć, że nie tylko jej osobowość była pozbawiona tego, co filozofowie nazywają plastycznym medium, ale, że była zamknięta, jak za jakąś ukrywana karę, w kręgu nieustającego przeczenia idealnej piękności swego ciała. Naprawdę niekiedy z upełnieniem poważnie myślałem, że w zaświatach stawiania się, kobieta ta zabłąkała się w ciało, które wcale do niej nie należało”. Autor nie bez ironii dodaje, że „prawie wszystkie kobiety — gdy są piękne, co trwa tak krótko — sprawiają podobne wrażenie, zwłaszcza na ludziach zakochanych po raz pierwszy w życiu”.



Głowa Greczynki

Słusznie więc można zapytać: „jakim prawem kobieta taka nie jest geniuszem, mając tak piękną urodę... — i zawołać: — bądźże podobna duszy swych kształtów!” — Dlaczegoż żywi zawsze „wrodzone pragnienie poniżania wszystkiego, co choć trochę wynosi się ponad ziemię?” „Wydaje się mieć duszę tylko w tych okropnych chwilach, gdy przeżywa, jak gdyby niejasny i instynktowny strach przed swym nieporównanie pięknym ciałem”. I to jest chyba właśnie źródło smutku, który pod-



Wytworna dama rzymska

nosi niebezpieczeństwo jej rysów i pogłębia nieporozumienie w sprawie ukrytej treści.

Te piękne a chybotliwe istoty odkrywają nam jakiś rabeł tragedii kosmicznej, rozgrywającej się gdzieś w metafizycznych sferach, w których borykają się ze sobą: forma i materia. Ich pozorne uduchowienie jest podświadomym wyrzutem, jaki czyni sobie ideał postaci ludzkiej, zabłąkany w ciele, nie ożywionym równie doskonałą treścią duchową. I dlatego zdarza się, że „tak wstrząsająca uroda, może być przepojona tak niezrozumiała pustką moralną”.

Z metafizycznych głębin bytu, tragedia ta może się wnieść na bardziej powierzchniowy poziom przemian kulturalnych. I wtedy przybiera różne oblicza, zależnie od kręgu cywilizacyjnego, w którym ją odnajdziemy. Wówczas konflikt nie polega na sprzeczności między treścią a formą, ale rozciąga się w czasie. Bardziej wyraziste — kobiecie zwłaszcza — twarze przybierają rysy i wyraz przejęty z zamierzonej przeszłości, tak jak zostały nam utrwalone w sztuce.

Człowiek, który się znalazł w tym małym kotle wszelkich ras i epok, jakim jest Aleksandria, nie jeden raz był zakochany gorzkim grymasem ust u Grekoczonego grymasem jeszcze przed chwilą przebudzenia się ich świadomości.

życiowej. Jakże przypominał on malatury na wazach starożytnych, maski tragiczne i pilastry Kariatyd, wyobrażające typy walecznych Spartanek.

A wieleż razy w dzielnicy arabskiej ocierał się o almeę z bitnego plemienia Senussich, tak żywo przypominające profile z płaskorzeźb egipskich, czy nawet popiersia Nefretiti. Ta sama szlachetność rysów widoczna spod przeźrzystego kwefu, tryskające blaskiem oczu i smukłość figury — pomimo zszarpanych szat i obrastającego brudu.

Wśród Włoszek spotyka się klasyczne twarze Rzymianek o linii nosa, będącej idealnym przedłużeniem czoła, o w klasyczny pukiel spiętych włosów i dumnym, nieprzystępnym spojrzeniu.

W tych wszystkich typach jednak zwierzała już duch dawnych epok i krajów. Pozostał jedynie zewnętrzny kształt skamieniały w żywym i wiecznie odradzającym się typie rasowym. A jakże często, zakłęty w tym kształcie wyraz, jest tylko znakiem, symbolem wiekowych przeżyć, utrwalonych twórczym dźwiękiem, czy pędzlem artysty, zastygłym w kształt odlewu gipsowej maski.

A potem idą pokolenia podobnych typowych masek, aż do najnowszej epoki: zmechanizowanej, ujednostajnionej i jakże często bezdusznie martwej — w porównaniu do swego prototypu — maski współczesnej, przedwojennej kobiety, „zrobionej” na Gretę Garbo lub Joan Crawford. Czoło przysłonięte, część twarzy ukryta pod puklem włosów, brwi wyskubane, rzęsy wydłużone tuszem, usta ukarminowane, zmarszczki często kosmetycznie ściągnięte, a maska wymodelowana parafinowym zastrzykiem. Moda obrabowała kobietę z jej własnej twarzy i wyrazu.

Trzeba było dziejowego kataklizmu, aby je kobiecie przywrócić. Patrząc na te, które przeszły wojnę w Kraju, wzięcia i zesłanie w Rosji, niewolę w Niemczech, rozstanie i poniewierkę, daje się zawsze zauważyć — o ile tylko w duszach tkwi choć ślad iskry Bożej — jednakże zjawisko. Przede wszystkim do-



„Maska” artystki filmowej

mający ton smutku, gorzkości i cierpienia, oraz rzadko zachowana, cz. sta. uroda plastyczna, normalna pogoda, czy spokój. Ale za ta ruchomą zasłoną kryje się pogłębiona i poszerzona gama ekspresji, indywidualnego, osobistego wyrażenia. Gama poszerzona w dół o akord d-przesłji i zwiększona w górę o kontrastujące z nimi tony jasnych uśmiechów, zachwytów i chwil wewnętrznej dozwolenia. Czasem jest to gama wahająca się między przedczesną starościa, a bliznistością podlotka.

Spostrzeżenia te poczynione zostały w basenie Morza Śródziemnego. Czyżby to był tylko wpływ południa? Jakaś mi-

nika i sugestia otoczenia? Udziałają też gorycz i żywotność gestykulacji? Raczej nie, choć po części tak. Bo gdzież zapłodniona przeżyciami dusza ludzka znaleźć ma dla siebie lepsze przykłady i wzory, jak nie właśnie w kolebki sztuki i kultury? Gdzież lepiej się rozprężyć, jak nie pod promieniami słońca i pod błękitem, prawie nigdy nie zachmurzonego nieba? I to w otoczeniu tyłu nagromadzonych doświadczeń przeszłości! W tym znaczeniu duch miejsca, spiritus loci, niewatpliwie, może mieć swój wpływ niepośledni.

A wówczas nie dziwnego, że duch bierze odwet nad materią. Rozsądza nawet

nieforeny lęb brzydki jej kształt. On, dzieła martwą postać żywym pięknem i zmniejsza w ten sposób zobowiązania materii wobec formy, bo ją uszlachetnia. Ten wynik borykania się wspomnianych elementów metafizycznych wydał po poprzedniej wojnie przemijający okres rozkwitu ekspresjonizmu w sztuce. Czy po tej — przyniesie nam nową postać pocieszenia, czy też dalej pójdzie w kierunku tragicznej goryczki? Odpowiedzi szukajmy u źródła. Obserwujmy kobiety — te, którym złowroga wojna przywróciła twarz.

ON

## O RADIO-WIEPRZAKACH, TĘSKNOCIE MIĘDZYPLANETARNEJ I LUDZKIEJ PRZYSZŁOŚCI

Za najczarniejszych czasów okupacji bolszewickiej, powiada mi przyjaciółka — sąsiadka z wileńskiego przedmieścia:

— Wie pani co? (Nie wiem — odpowiadam). Postanowiłam sprzedać radio i kupić za te pieniądze wieprzaka. (U nas w Wilnie mówią się: parsiuksa).

— Dobry interes.

— Prawda?

Omawiamy możliwości: cenę i równanie radio — parsiuksa. — Następnie już skutki tranzakcji: słonina, kilo por... szynki po... schab itd.

Dopiero po latach, za najczarniejszymi czasami okupacji niemieckiej, leżąc z rękami założonymi pod głowę, marząc o nierzeczywistościach tego świata, o jego odcięciu, o jego upośledzeniu, o hypnotycznym rozwoju wypadków, przychodzi raptem do głowy olśnienie tego równania: za taki wynalazek, jak radio, plus pewna ilość czerwieców — jeden wieprzak. Marny, znany prapradziom i takimiż babkom, wieprzak! Co za czasy!

Istotnie, wymyślić się w nie, a rzecz wygląda nie do pojęcia. Jeszcze podczas tamtej wojny, ile by dali tzw. ludziska za takie pudełko, co pokręci o milimetry, a już dowiedzieć się można szczegółów o toczących się daleko bitwach, wyśrodkować ich przebieg, a z wszystkim sprzecznym komunikatom i kłamstw — dojsz do prawdy. Słysząc wszystkie komunikaty, autentyczne przemówienia mężów stanu, wodzów. Nie ruszając się z kanapy, byłeś w stolicach wszystkich państw europejskich, unosząc się nad ziemią i przenosząc za ocean. Co by za takie pudełko magiczne, nieprawdopodobne, mógł dać na przykład Napoleon, albo szef jego sztabu, marszałek Berthier? Miliony byłyby za mało. A tu... wieprzak istotnie kosztował drożej!

Dziedzina wynalazków, osiągniętych przez współczesność, do tego stopnia między tradycyjny sceptycyzm tychże współczesnych, iż trzeba być naprawdę zakąką roku ludzkiego, by nie wierzyć w możliwości wszystkiego.

Gdy się weźmie pod uwagę wyczyny stratosferyczne, samoloty latające na ślepo itp. hec, a zestawie radio z okresem sprzed lat stu, wydaje się, że te lata były bardziej odległe od radia, niż dzisiaj od — księżyca.

Jedynie przysłowie: „na księżycu”

jeszcze przemawia do nas starym wdziękiem. Ale treść nie leży już na... księżycu.

Niestety, na przeszkodzie stoi wojna. Ludzie w zasadzie nie tyle są głupi, co raczej jacyś uparci. Ludzie przecie zdają sobie sprawę, (bo gdyby nie zdawali, nie kivaliby głowami na argument), że

podczas wojny światowej mówi o... gwiazdach!

Ludzie całą energię, łącznie z energią atomową zużywają na wynalazki wojenne. Jestem przekonana, że gdyby wszystkie energie i pieniądze, myśli uczonych, pracę konstruktorów i zapał młodzieży obrócić pozwolono na dobro ludzkości, dziś już, w roku 1946... latać byśmy mogli na księżycu.

Mam koleżankę z dziedziny tego samego przekonania, Marie-Alix-Lamotte, która jednak od profesora Ananoffa, przewodniczącego francuskiego towarzystwa astronautycznego, otrzymała taką odpowiedź:

— Dlaczego właśnie na księżycu? Mój Boże, to jest nieciekawa planeta — (ona nie powiedziała: „dziura”). Czy pani jest geologiem? Księżyc interesować może tylko geologa. Wokół pustka, żadnej atmosfery. Chodzić można tylko w specjalnym przyrządzie oddechowym, no i w ogóle... Dlaczego nie chce się pani wybrać na Marsa albo Venus?

Nie wiem, jak się zachowała, usłysawszy te słowa, Marie Lamotte. Ją bym się w każdym razie poprawiła na fotelu.

Tymczasem profesor, który podobno nie jest ani stary, ani brodaty, ani nie nosi okularów, a więc nie może nawet ponad szkła spoglądać na swego interlokutora, ciągnął dalej — chętnie dodałabym: „niebada bawiac się ołówkiem”.

— Otóż mamy najdokładniej wykonaną mapę Marsa. Możemy po nim spacerować bez obawy zabłądzenia. Znamy jego atmosferę. Wiemy, że posiada dwa pory roku: lato i zimę. Ogromne, zielone połacie zmieniają swój kolor sześć miesięcy. Klimat jest raczej przyjemny.

Tylko, że strasznie daleko! Okazuje się jednak jota w jotę, co powiedziałyśmy wyżej, że wynalazki astronautyczne nastąpiły ogromnie naprzód. Używane przez Niemców dla celów wojennych „V-1” i „V-2” dosięgały 120 km wysokości. Obecnie Angliey wykombinowali taką rakietę, która wylatuje na wysokość 320 km i nazywa się dlatego „A-9”. Rakietka ta, zaopatrzona w niezbędne, samoczynne aparaty rejestracyjne, udzieli nam dokładnych wskazań, jak się mamy zachowywać w podróży międzyplanetarnej i kosmicznej. Wszystkie te

badania zahamowane zostały znacznie przez wojnę, jakkolwiek się mówi, że wojna współdziałała w dziedzinie rozwoju wynalazków. — W krótkim czasie problem komunikacji międzyplanetarnej omawiany jednak będzie po raz pierwszy oficjalnie na wszechświatowym kongresie aeronautycznym w Paryżu.

Ot jak... A Venus?

— Venus — mówi młody profesor — trudno obserwować, bo oślepią nas słońce. Patrzymy tylko przed wschodem, albo po zachodzie. Jest tam cieplej niż na ziemi i Marsie, ale pochmurno. Venus przysłaniają ciągle obłoki, dlatego nie mamy dotąd jej mapy.

Więc już dobrze, poprzestańmy na Marsie. Jak się tam dostać?

Narazie historia cała wygląda w ten sposób (a zapewniam czytelników, że jest to historia z prawdziwego zdarzenia):

Przede wszystkim spożytkowanie energii atomowej. Łatwo się było tego domyślić. Problem nr 1: jak wrócić? Równieś przy udziale systemu raketowego. Kiedy start? Zdaniem Joliot Curie i ks. Broglie w przeciagu dwunastu do piętnastu lat. Istnieje cały szereg problemów dru-

Czy wiecie że... Słowa te rozpoczynają zwykle serię wiadomości niemal paradoksalnych; o zjawiskach, które, niezanalizowane w naszych umysłach, wydają się trudne i niepojęte, a oświetlone z bliska, są proste i oczywiste. Fakty i wypadki, zachodzące wokoło nas bez przerwy, niedostrzegane, mimo codziennego z nimi zetknięcia, stają się jasne, gdy je dojrzymy, gdy ktoś nam zwróci na nie uwagę.

Na terenie Rzymu istnieje od szeregu miesięcy organizacja zawodowo-społeczna, trochę cywilna, więcej wojskowa, rozwijająca dość szeroką działalność. Dociera wszędzie. Temu sprządza książki i czasopisma techniczne, tamtemu ułatwia zdobycie zawodu przez umożliwienie nauki, ów pogłębienia i odświeżenia swą wiedzę na specjalnych kursach, wykładach, zjazdach. Pułkownik i szeregowiec, wybitny specjalista w swoim zawodzie i zaledwie kandydat na wykwalfikowanego robotnika, znajdują w niej coś dla siebie. Tysiące listów (często zdradzających niesłychaną fantazję i pomysłowość), przysłowiowe „kolejki” interesantów, pielgrzymujących z dużym nakładem poświęcenia i uporu, na odległy (niestety) Piazza Remuria 2a — świadczą o popularności instytucji. Lecz z równo treść niektórych listów jak i sprawy, z którymi wielu petentów się zwraca, wykazują niezbicie, że chociaż wszyscy o jej istnieniu wiedzą, nie wszyscy przecież ją znają. Korzystam więc ze sposobności, że „Ochotniczka” ku niewatpliwemu żalowi czytelników działu „Czy wiecie, że...” nie prowadzi (jeszcze) i rozpoczynam go „reklamą” Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii, Oddział Włochy, którego przecież jestem nie na darmo członkiem. Więc, by rzecz wyjaśnić gruntownie — zaczniemy od początku.

giego rządu, które wszelako należy brać pod uwagę, ażeby cała wyprawa nie nawaliła. A więc promienie ultrafioletowe mogą mieć zabójczy wpływ na organizm ludzki. Trzeba znaleźć środek, aby je eliminować, jak również taki metal, który by nie podlegał wpływom temperatury. Statek musi wytwarzać sztuczna atmosferę... ach, zresztą nieskończoną ilość najrozmaitszych szykan i kombinacji. Model, który ulegnie jeszcze napewno bardzo wielu poprawkom, oglądać można w Pałacu Wynalazków w Paryżu. Będzie się nim z łatwością sterowało, wymijało meteory. Hamulce raketowe ułatwią lądowanie i...

Jesteśmy na Marsie.

Zamykam oczy, zaciskam nawet powieki, skupiam myśl, leżę kwadrans, a jednak — nie wyobrażam sobie tego momentu. Wychodzę z gondoli i co? Co dalej? Przede wszystkim, jeżeli panowie z Paryża się pomylili i atmosfera na Marsie wcale nie jest odpowiednia dla nas, jeżeli nie będę mogła tam nawet oddychać, sprawa przyjmie fatalny obrót. Powtóre spaść tam komuś na głowę, rozbić coś cennego, co oni sobie poczytują za ważne — bo ja wiem, co to może być

— zabiją... Ani chybi, zabiją! Ale powiedzmy, że ludzie tam przyzwyciężeni. No, ludzie nie ludzie... Jakież istoty. I jak też mogą one wyglądać?

Jedno mię zastanawia najbardziej: panowie mówią, że za lat piętnaście. Ja sama jestem przekonana, że już dawno powinniśmy lecieć. Ale piętnaście lat to jest nic w okresie wieczności. Powiedzmy za lat dwa tysiące nawet, to też jest nic. W jaki więc sposób się dzieje, że na tych różnych planetach, na żadnej dotychczas nie nastąpił taki czas dla tamtejszych mieszkańców, żeby mogli sobie pozwolić na latanie międzyplanetarne i że z żadnej planety, nikt jeszcze nigdy do nas nie przyleciał? Czyżbyśmy — my, ludzie, którzy na każdym kroku robimy tyle głupstw — byli naprawdę w całym wszechświecie najmądrzejsi? A przecież ten wszechświat jest taki bardzo duży...

Oto jest problem, na który, — gdy się zastanowić — odpowiedź byłaby chyba bardzo... podejrzana.

Bo co do reszty, nie mam wątpliwości: gdyby się ta cała wyprawa udała i komunikacja międzyplanetarna z Marsiem została nawiązana — wybuchnie nowa wojna.

TETA

## W JEDNOŚCI SIŁA

Czasy, kiedy po raz pierwszy dotarli do zainteresowanych niejasne wieści o zamiarach zorganizowania na terenie 2. Korpusu Stowarzyszenia Inżynierów i Techników — należały już do zamierzonych. Maj i czerwiec ub. roku był okresem, kiedy grono ludzi spod znaku pochodni i młota (herb Politechniki warszawskiej — nie mylić z innymi!) przyjęło pewne sugestie istniejącego w Londynie Stowarzyszenia Techników Polskich, postanawiając stworzyć na tułejstym terenie jego autonomiczny oddział. Inicjatorów było niewiele, a roboty organizacyjnej po uszy. Głucha wieść o zamierzeniach, zbierającego się pierwszego Zjazdu Polskiego Świata Technicznego w Italii, brzmiała coraz wyraźniej, docierała coraz szerzej. Wreszcie pokonano wszelkie trudności. Uzyskano zezwolenie i poparcie w Dowodztwie 2. Korpusu i ogłoszono termin Zjazdu w Rzymie dnia 30 lipca 1945 roku.

Zjechało się do Rzymu czterysta osób (niestety kobiety reprezentowane nie były), by w salach, gościnnie użyczonych przez P.S.K., po raz pierwszy od szeregu lat, radzić nad sytuacją Techniki Polskiej i jej adeptów, by w myśl zasady — w jedności siła — stworzyć ją, dla dobra Narodu i Państwa.

W pierwszym dniu Zjazdu, po wystąpieniu szeregu referatów, uchwaleniu rezolucji i wniosków, jednogłośnie uchwalono zwołanie posiedzenia powołanie na zgrupowanych postanowiono powołać na terenie Italii Stowarzyszenie Techników Polskich, Oddział Włochy. Przyjęto stać tu, określając warunki członkostwa oraz cele istnienia i działalności. W myśl jego przepisów członkiem zwyczajnym Stowarzyszenia zostaje każdy obywatel polski, inżynier lub technik o wykształceniu średnim, po wypełnieniu i złożeniu odpowiedniej deklaracji i udo-

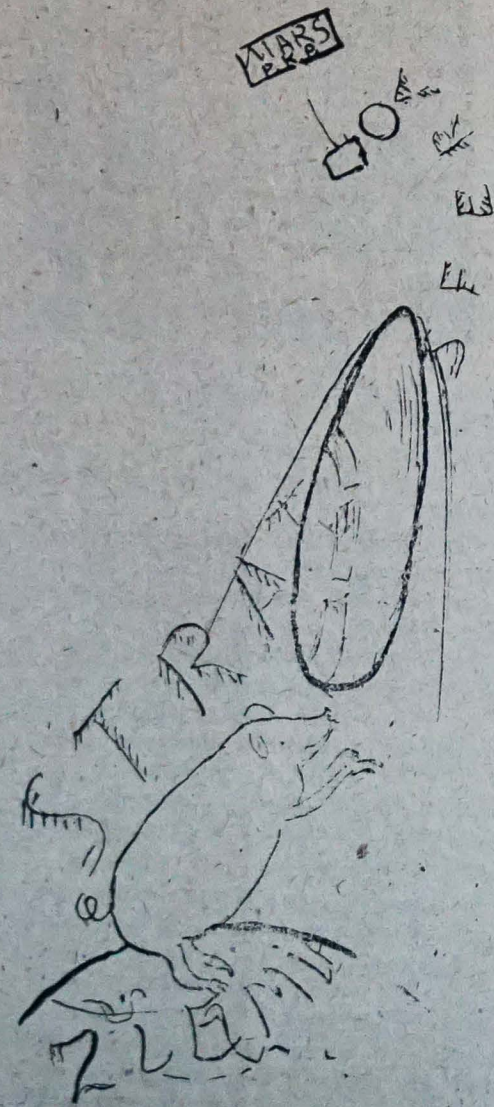
wodnieniu posiadanej stopnia. Członkiem nadzwyczajnym — student wyższej uczelni szkoły technicznej oraz ci wszyscy, którzy pracując w zawodzie technicznym przez szereg lat, nabyli wiedzę fachową praktyczną co najmniej w zakresie średnim. Celem powstającego Stowarzyszenia ma być praca dla techniki polskiej we wszelkich jej przejawach i na wszystkich dostępnych odcinkach. Z chwilą powzięcia tych uchwał Zjazd inżynierów i techników przekształcił się automatycznie w Walne Zebranie Stowarzyszenia Techników Polskich.

W ciągu dalszych obrad (dokonywanych dośrodkowo w pocie czoła, zważywszy temperaturę panującą w tym czasie w Rzymie) powołano Zarząd Stowarzyszenia oraz jego przybudówki, jak komisję weryfikacyjną, rewizyjną itd. i przyjęto zasadnicze wytyczne pracy. Zorganizowały się fachowe sekcje i odbyły pierwsze obrady.

Trudności piętrza się na każdym kroku i jak smoki straszą śmiałków patrzących w przyszłość. W Stowarzyszeniu brak ludzi do pracy. Stowarzyszenie jest bez pieniędzy. Jako instytucja, choć również z wojskowych złożona, jednak o charakterze cywilnym, nie posiada szeregu elementarnych pomocy, bez których żadna organizacja żyć nie może. Problemem jest zakwaterowanie, problemem komunikacja, problemem wszystko...

Połowa października ubiegłego roku jest okresem przełomowym w życiu Stowarzyszenia: do Rzymu przyjeżdżają pierwsi czterech inżynierowie, odkomenderowani do prac w zarządzie na stałe. 1 stycznia br. liczba odkomenderowanych wynosi już siedmiu oficerów-inżynierów. Praca zyskuje na rozmachu z każdym dniem.

Ille poczyniń i wysiłków poszło na marne, nim doświadczenie utarło drogi



rys. K. Domanska

właściwe — to należy do ściślejszej historii i niech zasypie owe niepowodzenia pył. Dzisiaj mogą o pracy i rozwoju świadczyć rezultaty, którymi zarząd stanął przed Walnym Zebraniem w starych murach uniwersytetu w Bolonii w dniach 5-6 kwietnia br.

Już na Zjeździe w roku ubiegłym, na pierwszym planie postawiono doszkolenie. Szło ono w trzech kierunkach: 1) organizacja kursów dokształcających, 2) organizacja wycieczek technicznych do zakładów przemysłowych włoskich i 3) zapoznanie w książki i podręczniki.

Zorganizowano następujące kursy: sześciotygodniowy kurs rolniczy w Rzymie, trzytygodniowy kurs inżynierów wodnych oraz tygodniowy cykl wykładów na poziomie inżynierskim dla elektryków, mechaników, inżynierów lądowych i wodnych, chemików, architektów, leśników i rolników. Jako wykładowcy, poza Polakami, specjalistami danych dziedzin, zaangażowani byli profesorowie włoscy.

Zorganizowano szereg wycieczek technicznych, jak: dziesięciodniowa wycieczka elektryków do zakładów Mediolanu i Turynu, dziesięciodniowa i dwutygodniowa chemików do zakładów przemysłowych Mediolanu i Włoch północnych.

Akcja zaopatrzenia w książki fachowe dała w sumie cyfrę 5279 egzemplarzy, z czego dla stworzonej biblioteki Sto-

warzyszenia przekazano 240 książek. W obecnej chwili przygotowane jest wszystko do rozpoczęcia wydawnictw własnych. Wychodzi też miesięczny biuletyn Stowarzyszenia.

Poza współudziałem w organizowaniu wykszolenia ogólnotechnicznego (studia wyższe, gimnazja fachowe), Stowarzyszenie zainicjowało i prowadzi korespondencyjne kursy techniczne - elektrotechniczne, budowlane i handlowe. W chwili obecnej ożyła ucznia tych kursów sięga 1600. Wysły już po dwa zeszyty każdego działu.

Całość pracy wykszoleniowej nie byłaby kompletna, gdyby nie wspomnieliśmy o inicjatywie „własnego warsztatu” tj. rozpoczęcia dostarczania dla członków przyrządów pomiarowych, precyzyjnych obrabiarek, maszyn do pisania itp. Akcja ta, zaledwie rozpoczęta, rokuje na przyszłość jak najlepsze wyniki.

Od pierwszych dni powstania Stowarzyszenia, palącą była sprawa dokładnej rejestracji i weryfikacji naukowego cen-zusu. Przeciż po przejściach i tułacz-kach więziennych mało kto zachował jakiś strzęp dyplomu, jakieś oryginalne świadectwo. Komisja weryfikacyjna, pracując bez przerwy, w okresie sprawo-zdawczym na siedmiuset kilkudziesięciu zgłoszonych członków Stowarzyszenia, zweryfikowała ostatecznie ( w pewnej drobnej ilości na podstawie oryginalnych

papierów, w olbrzymiej większości, na podstawie żmudnie zbieranych dowodów) — 222 inżynierów, 135 technologów i techników, 32 absolwentów i studentów wyższych uczelni technicznych. Na podstawie tych prac wystawiono uprawnia-nym legitymacje oraz przystąpiono do ostatecznego opracowania dyplomów za-stępczych.

Z inicjatywy Oddziału Włoskiego od-bywają się Międzynarodowe Zjazdy Pol-skich Stowarzyszeń Technicznych w Pa-ryżu i Brukseli, na których przyjmują się pewne zasady, uzgadnia poczynania i działalność.

Miernikiem żywotności, energii i pra-cy Stowarzyszenia jest osiągnięta włas-nymi siłami suma trzech milionów.

Niech malkontenci mówią co chcą, niech piszą do gazet listy otwarte, że „nie otrzymali zeszytu biuletynu”, niech wymyślają, że „zarząd milczy”, gdy sami ponoszą winę, nie podając adresu lub własnego nazwiska. Gdzie jest praca i ruch, gdzie się przewija ty-siące spraw i interesów, niedociągnięcia być muszą, lecz rezultat, ujętej w ca-łość działalności Stowarzyszenia Techni-ków Polskich, jeszcze raz dowiodł, że tym razem, jak zawsze „jedność więk-sza od dwóch” i że w niej drzemie praw-dziwa siła. Byłe umieć jej użyć wład-ciwie.

INŻ. HENRYK MAJEWSKI

## „...BO MY Z TRANSPORTU...”

Okres trzyletniej pracy Kompanii Transportowych PSK zotął jak gdyby na zewnątrz zamknięty uroczystym obcho-dem w dniu 14 marca 1946 w m.p. obz Kompanii przy współudziale wielu do-stojnych gości.

Rezultat tego okresu pracy zamknięty został w danych statystycznych, w cy-frach, które postawiły Kompanie Trans-portowe PSK na równym poziomie z in-nymi Kompaniami Transportowymi, co daje nam przeświadczenie o wartości na-szego wysiłku.



(fot. Lola R.)

Z uroczystości Kompanii Transportowych: przysięga

Jako jedna z licznych pionierek tej no-wej dla kobiet dziedziny pracy, chcę tu pokusić się o zrobienie bilansu z życia tych Kompanii, z realizacji dążeń i pla-nów tych setek kobiet, których przezna-czeniem jest na widowni świata raz jesz-cze odtworzyć w sposób modernistyczny historię kobiety polskiej.

Gdy rozpoczynaliśmy naszą pracę, propa-ganda niemiecka, chcąc w opinii własnej i naszego Kraju obniżyć naszą war-tość, ochrzciła nas mianem: „harem gen. Andersa”.

Dziwny to był „harem”, który po prze-bytych tyfusach i różnorodnych azjaty-ckich chorobach, od świtu do nocy pracował, dosłownie obłany potem, przy obsłu-dze maszyn. Czasami bez posiłku, czasami bez snu. Miał przysłowiowych na-szyjników otrzymałyśmy w darze lśniąca stal broni, miał dywanów — piach, a do snu kołysało nas wycie szakali. To był początek.

A później: „malaryczna armia gen. An-dersa przygotowuje się do wzięcia udziału w akcji”... Ile w tym było prawdy, tyl-ko my wiemy, hojnie obdarzone przez czerwony wschód malaría, która na podatnym gruncie Sr. Wschodu stała się niemal powszechna. — Kładłyśmy się my pokotem. Gorączka dopadała nas wszędzie, na każdym odcinku pracy i dnia, czy to w dusznym, zasypanym pi-łach namiocie, czy przy kierownicy, czy też na warcie. W tej walce, w wyścigu z chorobą zrodziło się wielkie poczucie koleżeństwa. Te, które już podnosiły się z twardego, żołnierskiego postania, bez słow, bez zachęty lub skargi zastępowały przy kierownicy inne, które padały pod ciężką gorączką. Na szosach bez przerwy przemykały trzytonówki obławowane pod-wierzech. A z kabin wyglądały uśmiechnię-te, pogodne, rozśpiewane, lecz przybladłe, niemal dzieciinne twarzyczki.

A później już na włoskim froncie, przez całą kampanię, dzień i noc, noc i dzień, często bez odpoczynku, snu, bez posiłku kursowały dobrze już znane trzy-tonówki z amunicją, benzyną, sprzętem saperskim, żywnością i jeńcami.

I przyszedł dzień 7 maja 45 roku — wieszanie broni — w entuzjastycznie okrzy-

ków obcego tłumy, w odgłosie dział wi-watujących, w kolorowych, rozsypanych się bryzgach rakiet, rozświeceniach czerni nocy, na które patrzyły zdumione, jak gdyby nie rozumiejące, niebieskie oczy. Na kwaterach cicho i smutno. Nie słychać żartów, ni śpiewów, nie słychać płaczu, co szarpał się w duszy. Nie przychodziły i nie pytały te w 92 proc. z za linii Curzona, co czynić dalej. Po odpowiedź szły do własnych serc. Do zdrowego, nieskażonego przekupstwem lub strachem umysłu, dotarła świadomość źródła siły i prawdy.

Znalazły je w książkach, na ławach szkolnych i związkach rodzinnych, da-jąc nowe życie tym, którzy staną kiedyś do pracy w Ojczyźnie i bronić będą jej wolności i bezpieczeństwa.

Na lśniących wstęgach szos w dalszym ciągu przemykają brunatne trzytonówki, a z kabin, jak zwykle, wyglądają pogodne, uśmiechnięte twarze. Tylko w niebieskich oczach narodził się wyraz dojrzałej decy-zji, która ze spokojem każe przyjmować obelgi, rzucane przez słabych duchem pod adresem 2. Korpusu; decyzji, która im kazała chować do kieszeni oświadczenie Tymczasowego Rządu Warszawskiego, nie polskim sercem dyktowane. Te kobiety nie są i nie będą niczymi wyrobnicami, choć i na obcej ziemi, jeśli tak zrządzi los. Tworzyć na niej będą wolną, polską myśl, którą czas oblecze w czyn. Wbrew pobojnym życzeniom niektórych, tworzyć będą potężny chór głosów mówiących o



(fot. Lola R.)

Z uroczystości Kompanii Transportowych: gen. Bohusz Szyszko dekoruje ochotniczkę

absurdzie linii Curzona. Tworzyć wreszcie będą legendę o kobiecie polskiej dla tych w Kraju, którzy czują i myślą tak samo, jak one.

Taka to jest twarda wola tych Polek - żołnierzy o drobnych rękach na kierow-nicy, o pogodnych niebieskich oczach, z

uśmiechem i piosenką na ustach. A pio-senka, choć prosta i banalna w układzie, wyraża tak wiele:

„Bo my z transportu, bo my z trans-portu, robimy to dla Sprawy Świętej, nie dla sportu...”

MARIA TRÓJANOWSKA

## ŚWIĘTO KOMPANII TRANSPORTOWYCH P. S. K.

Pogoda chmurna, lecz ciepła i cicha. Tylko morze szarobłękitne, które wiatry jakieś dalekie rozhuściły i wzburzyły — szumi i śpiewa.

Wozy stoją cicho, tyłem do morza, szeroko rozpostartymi ramionami półko-la, obejmując równe, karne szeregi żoł-nierzy, żołnierzy w spodnicach i czarnych beretach, z czerwonymi i niebieskimi tar-czami na ramionach.

Trzy lata pracowały Kompanie Trans-portowe PSK, dziś obchodzą swoje święto trzylecia.

Przybyli do nich goście znamienici, bo: Zastępca Dowódcy 2. Korpusu gen. Bo-husz Szyszko, gen. Sulik, Inspek-torka płk. Wystouchowa, płk. Wol-len, płk. Suchodolski, płk. Moroze-wicz, płk. Hołowacz, ppłk. Płoń-ska i inni. Uroczystość zaczyna się połową Mszą Sw. Stoją kom-panie w skupieniu, a nad ich głowami, od stóp ołtarza płynie pieśń - modlitwa: „O Panie, któryś jest na niebie, wycią-nij sprawiedliwą dłoń...”

Ksiądz kapelan w kazaniu — zobrazowawszy pokrótce dzieje wy-siłku i pracy P.S.K. od Rosji po-czawszy — wspomina o widomych ozna-kach żywej wiary kobiet-żołnierzy, o ich miłości i ufności ku Najśw. Marii Pannie. Na tej wierze i miłości opierać każe uf-ność w lepszą przyszłość. Po kazaniu ka-pelan odbiera przysięgę

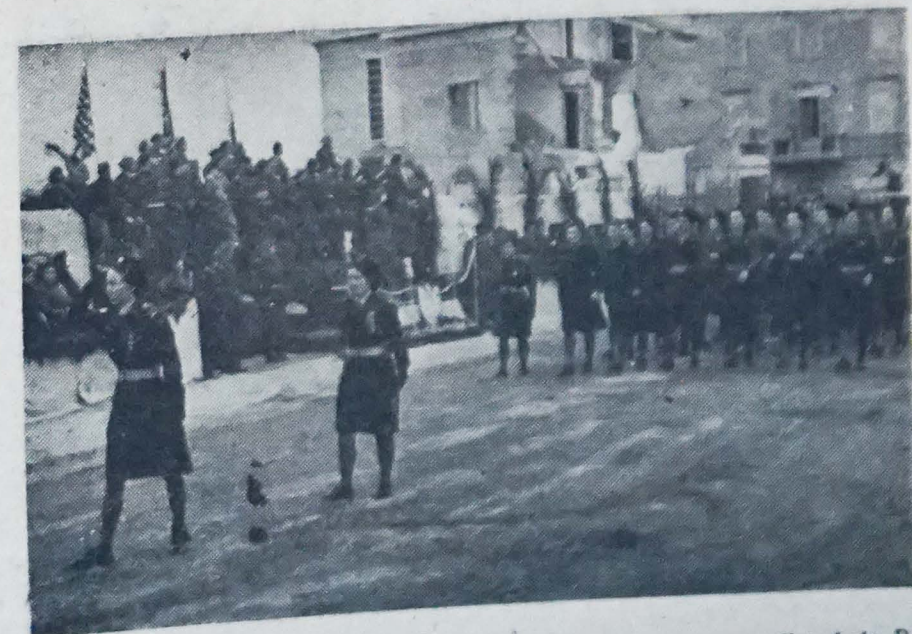
Pewnie i spokojnie brzmia młode gło-sy, powtarzające słowa ślubowania. Nie gło-szy ich szum morza. W tej przełomo-wej chwili, gdy ważą się na szali, w ua-

pięciu burzliwego pokoju, losy Polski, Europy i świata, ta młodzież pewnie i zdecydowanie obrała sobie drogę słu-żenia Ojczyźnie: twardą lecz pewną dro-gę żołnierskiego obowiązku.

Twarda też jest i żołnierska mowa, którą następnie wygłasza do nich gen. Bohusz Szyszko.

Nie ma w niej deklamacji, ani kraso-mówczych okresów. Jest natomiast stwier-dzenie ciężkiej sytuacji obecnej, w której każdy dzień mówi nam, że daleki jest

jeszcze kres naszej wędrówki, że służba nasza jeszcze nie skończona. Padają sło-wa uznania dla Kompanii Transporto-wych, które egzamin zdały świetnie i to nie przed swoją władzą, nie przed przeło-żonymi, ale przed Polską. Egzamin z pracy, z hartu i samozaparacia, tak, jak żołnierz go zdać powinien. Dziś, kiedy Ojczyzna nie może ich nagrodzić ina-czej, tym małym krzyżykiem tylko da-je znać swym dzieciom, że o nich i o ich wysiłku wie i pamięta.



(fot. Lola R.)

Uroczystości Komp. Transportowych: Defilada



(fot. Lola R.)  
Gen. Bohusz Szyszko i Inspektorka plk. Wysłouchowa wśród ochotniczek Kompanii Transportowych

Kończąc swe przemówienie, Generał wznosił okrzyk ku czci Polski wolnej, niezależnej i szczęśliwej, okrzyk podchwytyną pełną piersią przez wszystkich obecnych.

Orkiestra gra hymn narodowy. Wszyscy stają na baczność. Potem krótka komenda: „Do dekoracji wystap” i sakramentalne słowa: „Roz-

## GDZIE ŻYCIE KWITNIE JAK JABŁOŃ

Pocziwy Fordson, wyposażony w głośniki, aparaturę dźwiękową, radio, płyty i t.p., czyli tzw. „grajszafa” wyglądał niecodziennie na tle pejzażu południowych Włoch. Totalnie gawędzić miasteczka, mijanych po drodze, oglądała go ciekawie, a „contadini” patrzyli dłużej za tym dziwołogiem.

Z Canosy di Piglia skręciliśmy znowu na „szesnastkę”, by po godzinie jazdy, poprzez piękne gaje oliwne, kwitnące sady jabłoni i drzew migdałowych, wśród których biła się „trule”, „zakotwiczyć” na krótko w Trani.

Oczywiście meldujemy się miejscowej władzy — pani Komendantce.

Arcymama (bo tak już nazwaliśmy między sobą p. Jadwigę Krzeptowską, komendantkę Tymczasowego Domu Matki) przyjmuje nas naprawdę z macierzyńską czułością.



Blitnięta — Ewunia i Terenia

— Panowie z Dywizji Pancernej, specjalnie do nas, bardzo nam przyjemnie. Zaraz panom pokażę wszystko. Panowie na długo?... Może trochę odpoczniecie?..

Czyż można się przyznać, że wpadliśmy tylko po drodze, przy okazji? Nie! Więć: specjalnie, wyłącznie, koniecznie i tylko do Tymczasowego Domu Matki.

— Ale, czy panowie wiecie, że ten Dom jest tylko dla ochotniczek P.S.K. Bo mamy jeszcze w Trani drugi, Polski Dom Matki dla cywilnych. Władzę u Panów aparat. Jak to dobrze! Będą zdjęcia!

Idziemy do sąsiednich will. Arcymama jest wspaniała. Z każdego słowa i spojrzenia widać, że to wszystko, co się tutaj dzieje — ból i lęk, nadzieja i radość — to jest jej życie i krew.

Pierwsza willa naprzeciw domu administracyjnego — to dom oczekujących

porządkiem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej odznaczone zostały Krzyżem Zasługi...” i długa litania nazwisk oficerów i ochotniczek P. S. K.

Po ukończonej dekoracji przyska strój oficjalny. Pp. Generałowie i Inspektorka Wysłouchowa rozmawiają z ochotniczkami i pozują do wspólnej fotografii.

Za chwilę, przy dźwiękach Reprezentacyjnej Orkiestry Korpusu, 316 i 317 Kompanie przedefilują jeszcze przez Zastępcą Dowódcę Korpusu, ale gdy potem p. Generał zwiedzać będzie koszerie obu kompanij, czyż podobna zachowanie urzędową powagę, wobec tych uśmiechniętych lalek, barwnych poduszek i kłębionych „fatałaszków”, nadających tyle ciepła i miękkości kwaterom tych „stronach” żołnierzy w spódnicach?

W czasie obiadu żołnierskiego, przemawiali: gen. Bohusz Szyszko, gen. Szalik, p. Inspektorka Wysłouchowa, Komendant Garnizonu i mjr. Trojanowicz.

Za szybami dał zimny wiatr i deszcz pluskał monotonna. A na sali pełna była kwiatów, śpiewu, uśmiechów i serca.

ANNA KARSKA

matek. Właśnie przed chwilą przyjechał nowy transport. Ale głowa od przybitnika nikogo tu widać nie boli! Komendantka odczuwa raczej radość z nowych kłopotów i potrzeb.

Wehodzimy do jednej z will, gdzie mieszka obecnie pięć mam ze swoimi pociechami. Arcymama z dumą nas tu wprowadza. Bo proszę sobie wyobrazić: tu pierwsze korpusne dwojaczki! — Nie wiem, co by się działo w tym pokoju bliźniąt, gdyby mamie dzielnie nie sekundował papa... Patrzą z podziwem na szczęśliwego tatusia, który wprost odgaduje, że teraz trzeba to podać, tamto przesunąć, coś innego poprawić. A trzeba wszystko prędko, szybko, natychmiast, bo pociechy nie mogą płakać. Mama nie ma czasu. Bardzo przeprasza, że nie może się z nami zająć... Rozumiemy to doskonale.

I znowu „grajszafa” pruć swoje 30 mil na godzinę „szesnastką” w kierunku Bari. Znowu przez okna widać gaje oliwne, kwitnące drzewa migdałowe i jabłonie, lśniące bielą „trule”, opalizującą w słońcu taflę wody, obrysowaną ciemnym konturem wyłaniających się z zza horyzontu chmur. Myśl mimowoli wraca do domu, do starych, dobrych, przedwojennych czasów, do „szczenięcych lat”. A że bieg myśli i skojarzenia dziwnymi chadzają torami, nie wiem dlaczego ze szkolnych lat jeszcze, przypomniał mi się Słowacki, przypomniał mi się bardzo banalnie, jak lekeja języka polskiego w gimnazjum:

— Mnie się zdaje — że poza elementarnymi potrzebami, najważniejszą rzeczą jest atmosfera spokoju i pewności, świadomość właściwej i fachowej opieki czyli, nazwijmy to: — klimat psychiczny dla matki i ojca, bo dziecko w tym wieku jeszcze bardzo mało potrzebuje.

— O, to się pan myli! Rodzice mogą sobie wiele wytłumaczyć, ale te malenstwa... Jestem szczęśliwa, że dostałam zasilek. Marzyłam o elektrycznych piecykach, bo te naftowe są okropne. Przecież taka kruszyna nie znosi odoru nafty.

Zamilkłem zawstydzony. I rzeczywiście, cóż ja wiem? Nigdy nie domyśliłbym się, że piecyki naftowe mogą być takim zagadnieniem.

— Albo proszę panów, nie mamy jeszcze urządzonej świetlicy, brak nam radia. Trzeba przecież dać tym kobietom możliwość komunikowania się ze światem i trochę muzyki. A sprawa kuchni, magazynów, bielizny dziecięcej...

Przyjechaliśmy, obejrżeli, zrobili zdjęcia — i zdawało się nam, że wszystko jest w porządku, że „gra”, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik. A okazuje się, że to jeszcze tyle do zrobienia! Najważniejsze jednak, że to, co się robi, robi się dobrze, szybko, z oddaniem.

Młode mamy czują się świetnie. Chwalą sobie pobyt i bardzo proszą, żeby, jeśli będziemy pisać, podziękować wszystkim, poczawszy od p. gen. Andersa, p. Inspektorki Wysłouchowej i p. Komendantki T.D.M. — za to, co tu zastały, za te pokoje w słońcu i kwiatkach, za opiekę i pomoc, za ten, chociaż krótki, ale pełny powrót do atmosfery domu, rodziny. Fakt, że żona nie musi opuszczać męża w tej tak ważnej dla obojga chwili, jest niezmiernie ważny. Nie zapomniano o prawach ojcowskich w tym niepodzielnym państwie kobiet. Młodzi ojczulkowie, nie mniej szczęśliwi od młodych mamus, otrzymują urlopy, które spędzają w sąsiednich willach, mając możliwość całymi dniami cieszyć się nie tylko słońcem i morzem, ale przele wszystkim rodziną.

I znowu „grajszafa” pruć swoje 30 mil na godzinę „szesnastką” w kierunku Bari. Znowu przez okna widać gaje oliwne, kwitnące drzewa migdałowe i jabłonie, lśniące bielą „trule”, opalizującą w słońcu taflę wody, obrysowaną ciemnym konturem wyłaniających się z zza horyzontu chmur. Myśl mimowoli wraca do domu, do starych, dobrych, przedwojennych czasów, do „szczenięcych lat”. A że bieg myśli i skojarzenia dziwnymi chadzają torami, nie wiem dlaczego ze szkolnych lat jeszcze, przypomniał mi się Słowacki, przypomniał mi się bardzo banalnie, jak lekeja języka polskiego w gimnazjum:

„Jako na matki odejście się żali  
Mała dziecina, tak ja pręc  
bliski

Patrząc na słońce, co mi rzuca  
z fali

Ostatnie bliski...”

Gdy obłoki zakryły słońce, dzień poszarzał i, mimo wczesnego popołudnia, zdawał się chylić ku zachodowi. Wiosna mała się młodym życiem i kwieciami jabłoni. Trochę znużony podróżą, na wpół drzemiąc, doszukiwałem się w rozochatanych drzewach oliwnych naszej polskiej wierzby... I znalazłem nagle w pa-

mięci to, co Słowacki pisał w liście do matki — zdaje mi się, że to tam — że dzieci zaciągają dług wobec rodziców, który spłaca dopiero swoim własnym dzieciom.

A po tem już gdzieś przed drzemką doszukałem się leniwie elementów nie-

śmiertelności naszego życia w tym właśnie przekazywaniu go z pokolenia w pokolenie, na chwałę ludzkich marzeń, wzruszeń i umiłowani.

Życie, które kwitnie jak jabłoni, jest piękne.

ARYSTYDES JASTRZĘBIEC

## LISTY DO REDAKCJI

### Dziękujemy!

Uczymy się! Czy to możliwe?

Przed paru miesiącami kazano złożone podania tym, które chcą studiować. Chcemy, o! jeszcze jak chcemy!

Długo toczyła się dyskusja we wspólnej sypialni, na jaki wydział się zgłosić.

— Ja na medycynę!

— Ja na chemię!

— Medycyny i chemii starają się uczyć w Kraju te, które tam zostały. I zapewne, jeśli mogą, uczą się pilnie i czasu nie tracą. Ja pójde na humanistykę. Przecież to Włochy... Trzeba korzystać. Humanisci będą w Polsce potrzebni.

— Tak, ale z tych podań to i tak nie będzie — odzywają się głosy pesymistów.

I rzeczywiście nie było przez miesiąc, dwa, przez cztery. A po czterech miesiącach wezwano nas do kancelarii i odczytano rozkaz: zbierać manatki i meldować się u komendantki plutonu akademickiego w Rzymie. Radość rozpromieniła oczy, serca biją: tak... tak... tak... uczyć się, uczyć się...

Po tygodniu kompania daje wóz, który ma nas odwieźć do Rzymu. Dowódca wzywa nas do siebie: „Pamiętajcie o tych, które za siebie i za was pracować będą. Niech wasz czas i ich podwójny wysiłek nie będą daremne”.

— Nie będa, panie Kapitanie — meldujemy. — Plan natarcia gotowy, obsadzamy stanowiska na uniwersytecie, wszystkie wydziały muszą nam oddać swą wiedzę, a gdy zdobędziemy ją i mieć w niej będziemy sojusznika, wtedy zmienimy stanowiska i wykonamy drugą część zadania. Teraz jesteśmy w natarciu. Nie stracimy dnia, nie stracimy godziny!

\*\*\*

Akwedukty. Z kwitnacych krzewów wyłania się Rzym — Wieczne Miasto. Rzym — inny niż dotychczas: nie miasto urlopów, nie miasto wycieczkowiczów, Rzym miasto wiedzy, uniwersytet, w którym będziemy studiować. Ale w któreje to stronie ten uniwersytet? I gdzie będziemy mieszkać?

Przyjeżdżamy. Wszyscy są tacy wesośli i wszystko jest takie radosne. Wita nas komendantka, uśmiecha się, cieszy się, że przyjechałyśmy, — choć nie zna się, nas przecież. Ale i my cieszymy się i wiemy, że tę harcerkę z czynu i postawy będziemy kochały.

Komendantka pyta, czy która z nas nie jest chora, bo dla słabszych są pokoje na pierwszym piętrze, dla zdrowych zaś wyżej.

Portier daje nam klucz od pokoju. Wehodzimy. Rzeczy nasze już przemiesione. Szare, wojskowe plecaki tak silnie kontrastują z jasną tapetą w kwiaty, z zielonymi meblami, dużym lustrem w szafie i szerokimi siatkami łózek, że

przez chwilę nie wiemy, skąd wzięłyśmy się tu i co mamy robić. Rzucamy się sobie na szyję, potem zaczynamy wszystko oglądać, potem znowu patrzymy na siebie i już wiemy i zawsze będziemy pamiętać o tym, że o wszystko to zadbało o nas szlachetne, matczyne serce Pani Inspektorki Wysłouchowej.

Myjemy się. Za godzinę jest kolacja. Wehodzimy do restauracji. Napis głosi: „Akademicka Restauracja P. S. K.” Stoliki zastane białymi obrusami, a na każdym bukietik mimozy.

Po kolacji przemawia do nas pani Docent Lanckorońska. Mówi słowami prostymi, nie o własnym, wielkim wysiłku, o którym słyszałyśmy wszystkie. Mówi: „Dziękujcie gen. Andersowi! Droga do przyszłości, droga wielkości stoi przed wami otworem...”

Dziękujemy Pani Generale! Dziękujemy Pani Inspektorko, Pani Docent, Pani Komendantko! Dziękujemy nie słowami lecz postawą. Nikt nam nie odbierze wiary w jutro.

Stoimy na posterunku. Uczymy się!

IRENA WOLAŃSKA

## Do Ochotniczek P. S. K. 2. Korpusu

Każdego z nas, który po raz pierwszy znalazł się na terenie Włoch, uderza, nigdzie przed wojną niespotykany fakt, że obłrzymie wozy wojskowe, Dodge, Kantyny i inne, prowadzą polskie dziewczęta. Są to sławne już dzisiaj kobiety z P.S.K., które mają za sobą piekło łagrów bolszewickich, spiekotę pustyni afrykańskich i całą kampanię na froncie włoskim.

Pragnęlibyśmy my, oficerowie i szeregowi którzy byliśmy zamknięci za drzwiami obozów jenieckich w Niemczech przez przeszło pięć lat, żeby kobieta-żołnierz 2. Korpusu wiedziała, że szanujemy ją tak, jak nas uczono szanować kobiety w naszych domach rodzinnych. My tam, w obozach w głębi naszych serc wielbiliśmy Polkę w osobach naszych matek, żon, sióstr, narzeczonych i koleżanek.

Wojna, poza niebawym spustoszeniem naszego Kraju i naszych domów, przyniosła największe straty — śmierć najbliższych nam osób. Przyniosła też niejednokrotnie niekorzystne zmiany w pojęciach moralnych i w obyczaju. To jest smutny bilans każdej wojny.

Wróg z Zachodu i wróg z dzikiego Wschodu czynił długoletnie wysiłki w kierunku zdeprawowania społeczeństwa. My w obozach mówiliśmy często o tym, że taka będzie rodzina, takie będzie społeczeństwo, taka będzie przyszłość Polski — jaka będzie polska kobieta.

W pierwszych dniach tzw. „wolności” — bo my, Polacy, jeszcze jej nie mamy — obserwowałem na terenie Niemiec nasze dziewczęta i w wielu wy-

padkach — choć daleki jestem od generalizowania — widziałem spustoszenia moralne, jakie nam ta wojna przyniosła.

Znalazłem się na terenie 2. Korpusu we Włoszech i z pewnym lękiem począłem czynić obserwacje: jakie ślady zostawiło w duszach naszych dziewcząt piekło bolszewickie i tury, przez które przeszły w dalekim świecie.

Widywałem Ochotniczki w różnych okolicznościach — rozmawiałem z nimi — i z radością mogę dziś powiedzieć, że znam dobrze dziewczęta z P.S.K. 2. Korpusu!

Ich głęboka wiara w Polskę, wysoki poziom moralny, obowiązkowość, odpowiedzialność i pracowitość zrobiły na mnie głębokie wrażenie. Rozmowy nasze pełne były zrozumienia. Odnajdywałem wartości wspólne, niezmiennie.

I rozumiałem, że winni im jesteśmy stwierdzenie, ich godnego postępowania i wiernej służby i że obowiązkiem naszym jest zwrócenie uwagi kolegów, podchodzących z lekkomyślnym żarterem do

pracy P.S.K., którzy nie rozumieją widocznie, że szkodzą tym dobremu imieniu Polek, stając się zarazem nieświadomym narzędziem wrogiej propagandy, mającej na celu psucie opinii Polkom, szczególnie na terenie 2. Korpusu, który jest główną siłą zbrojną przyszłej Polski.

„Autostopowiec”, któremu wypadło siedzieć w kabinie obok kierowczyni, wie, że nie może przeszkadzać rozmową w jej odpowiedzialnej pracy.

Patrzac na te kobiety, tak cicho, wierne i odważnie pełniące swą służbę żołnierską, w której nie zatraciły czaru prawdziwej, szlachetnej kobiecości — chciałoby się im powiedzieć coś miłego, ciepłego i bezinteresownego. — Posyłam więc w imieniu swoim i moich kolegów ten list do Redakcji „Ochotniczki”, żeby kobieta-żołnierz 2. Korpusu wyczuła całą naszą wdzięczność za jej postawę moralną, nasz zachwyt i nasz głęboki szacunek.

Ppor. H. M. KANIEWSKI

## Na dzieci polskie w Niemczech

W lutym br. przeprowadzona została na terenie kompanii PSK przy 7 Szpitalu wojennym zbiórka na rzecz dzieci polskich. Zebrane L. 10.750 złożone zostały na ręce p. Inspektorki Wystouchowej.

Najbliższa sercu wszystkich kobiet PSK sprawa ochrony dziecka polskiego w Niemczech z pewnością znajdzie wyraz w zbiórkach zainicjowanych we wszystkich ośrodkach PSK.

\* \* \*

Z okazji Imienin mjr. Trojanowskiej, Kompania Transportowej składa 5.000 lirów na dzieci polskie.

## Zakończenie Podchorążówki P. S. K.

Dnia 15 kwietnia zakończyła się trzy i pół miesiąca trwająca (od 7 grudnia u.r.) Podchorążówka P.S.K. i Kurs dla oficerów A.K. w Materze.

## Z życia P.S.K.

Tutejszy pluton P. S. K. odbył w składzie 22 osób dziesięciodniową wycieczkę po północnych Włoszech. Trasa wiodła przez Bolonię do Bellagio, gdzie wycieczka zatrzymała się 8 dni w Domu Wypoczynkowym P.S.K. W drodze powrotnej zwiedzono Padwę i Wenecję.

\* \* \*

Dnia 10 marca na terenie kompanii PSK. przy 7 Szpitalu Wojennym rozpoczął się kurs języka angielskiego. Wykłady odbywają się trzy razy tygodniowo i obejmują dwie grupy: zaawansowanych i początkujących.

\* \* \*

Dnia 16. 3. odbyła się wielka zabawa kompanii P.S.K. przy 7 Szpitalu, urozmaicona kotyliem kwiatowym i ofiarowanymi „niespodziankami”, przygotowanymi przez ochotniczki. W zabawie wzięło udział ponad 350 osób. Ogólny dochód w sumie 34 tysiące lirów został przeznaczony na następujące cele: 18 tysięcy przesłano koleżankom do Domu Matki w Palestynie, 9 tysięcy przeznaczono na pomoc dzieciom polskim w Niemczech, a 7 tys. na uzupełnienie sprzętu kasyna P.S.K.

## Czyje pieniądze?

W Domu Wypoczynkowym dla P.S.K. i P.C.K. w Rzymie, ul. Boncompagni 18 znaleziono pieniądze zgubione w marcu przez ochotniczkę. Zguba jest do odebrania w Zarządzie Domu.

## Poszukiwania

Panie, które znają szczegóły z pracy łączniczki „Promyczek”, względnie „Promyczek” — siostry mej Barbary Streger, która później jako sanitariuszka zginęła, niosąc pomoc rannemu żołnierzowi A.K. w dniu 19.8.1944, na barykadzie róg Kruczej i Mokotowskiej — proszone są o podanie bliższych szczegółów pod adresem: por. Streger Stefan, C.M.F. 410.

# KRONIKA

## Dwusetny numer „Orła Białego”

Dnia 26.3.br. odbyła się w Cecchignoli pod Rzymem uroczystość z okazji wydania 200-go numeru „Orła Białego”. Dowódca 2. Korpusu, gen. Anders, przyjął raport Szefa Oddziału Kultury i Prasy, ppłk. Protasewicza, po czym wygłosił dłuższe przemówienie ks. Kołodziejczyk.

Skromny podwieczorek żołnierski odbył się w hali drukarskiej, udekorowanej kwiatami i artystycznie pomysłanymi napisami: nazwami miejscowości, w których kolejno przebywał 2. Korpus: Buzułuk, Jangi-Jul, Teheran, Bagdad, Petahtikwa, Quassasin, Campobasso, Neapol i Rzym. Nazwy te są zarazem etapami „Orła Białego”, który rozpoczyna swą pracę w Rosji, umacniając polskim słowem dążących z więzień i obozów do Armii polskiej. W imieniu Redakcji „Orła Białego” przemówił naczelny Redaktor R. Piestrzyński.

„Orzeł Biały”, jak wszystkie polskie inicjatywy kulturalne poza granicami Kraju, przeciwstawił się wysiłkom wrogów, zmierzających do eksterminacji polskiego słowa drukowanego oraz fałszujących mowę naszą, przez nadanie słowom polskim treści odmiennej od naszych pojęć. Podjął walkę o przestrzeganie zasad moralnych i przywzajemnych w polityce międzynarodowej norm prawnych, które — naruszane przez jednych, niedostatecznie bronione przez drugich — przyniosły w rezultacie pogwałconą wolność wielu narodów i brak pokoju dla wszystkich.

„Rola „Orła Białego” — jak powiedział gen. Anders w wywiadzie udzielonym dla 200 numeru pisma — pozostanie ta sama, co dotychczas. „Orzeł Biały” jest przedstawicielem polskiej myśli niepodległościowej, jest wyrazicielem ideałów, o które walczą żołnierze polski, oraz naszej woli dojścia do celu, który sobie wyznaczaliśmy wraz z całym Narodem”.

## Wynik Konkursu na odznakę P.S.K.

Dnia 5. IV. 1946 r. o godz. 18 odbyło się posiedzenie Jury konkursowego na odznakę P.S.K. w składzie następującym: Inspektorka PSK 2. Korpusu płk. Bronisława Wystouchowa, redaktorka „Ochotniczki” kpt. Herminia Naglerowa, doc. Karolina Lanckorońska, ochotn. Zofia Wańkiewiczowa oraz artyści malarze: ppor. Marian Szyszko Bohusz i ppor. Stanisław Westwalewicz.

Na Konkurs nadesłano 48 prac. Po ich przejrzeniu, jednogłośnie stwierdzono, że żadna nie jest odpowiednia do zrealizowania, co zaprotokółowano.

Postanowiono bezpośrednio zwrócić się do plastyków 2. Korpusu o wykonanie projektu odznaki P.S.K.

## Msza żałobna za dusze zmarłych Polaków w Buchenwaldzie

Dnia 10. kwietnia br. w Rzymie, w kościele garnizonowym, w wigilię uwolnienia obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, została odprawiona żałobna Msza św. za zmarłych w obozie Polaków — z inicjatywy grona buchenwaldczyków w Rzymie. Mszę św. celebrował ks. Niemira, były więzień obozu koncentracyjnego w Dachau.

WŁOCHY, 1946 r.

„Ochotniczka” ukazuje się raz w miesiącu — Cena 35 lirów

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu  
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa  
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62

„Ochotniczkę” nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K., w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach

TŁOCZONO W DRUKARNI POŁOWEJ